

Dziś w numerze: T. CHRÓSCIELEWSKI *Szańczyk i Kamień* • Dwugłos polemiczny o plastyce
 • D. SPIRYDONOW *Mleczarz* • A. GRUN *Jak wiele jest światów* • *Kina bez widzów* • *Zewsząd o wszystkim* • *Nowela kryminalna*

Odgłosy



7. II. 1970 r.
6 (638)
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIII



Teatr im. Jaracza
„IRYDION” —
Z. Krasieńskiego.
Alicja Zomer w
roli Elsinor
Fot. A. Wach

NAUCZYCIELE DZIŚ I JUTRO

Z PRZEWODNICZACYM ZO ZNP
KLEMENSEM KWIATKOWSKIM
ROZMAWIA WŁODZIMIERZ STOKOWSKI

— Panie Prezesie, na początek parę pytań natury informacyjnej. Ilu nauczycieli pracuje w łódzkich szkołach?

— W naszym okręgu szkolnym pracuje ogółem 7.361 pełnozatrudnionych i 2.666 niepełnozatrudnionych nauczycieli i wychowawców. Razem 10.027 osób.

— Czy wszyscy są członkami Związku?

— Prawie wszyscy, bo ponad 93 proc. ogółu nauczycieli i wychowawców. Znacznie więcej, niż w latach ubiegłych. Niemniej dążymy do tego, aby wszyscy nauczyciele i wychowawcy byli członkami ZNP.

— Do Związku należą tylko nauczyciele?

— Nie tylko. Również pracownicy nauki, pracownicy administracyjni i obsługi Uniwersytetu Łódzkiego, Politechniki Łódzkiej, Instytutu Techniki Ciepłej i Archiwum Wojewódzkiego. A ponadto pracownicy świetlic, bibliotekarze, lekarze-higienicy, pracownicy administracji i obsługi wszystkich placówek oświatowo-wychowawczych, podległych Kuratorium. Razem ponad 17 tysięcy osób.

— Niedawno informowała prasa, że w roku 1968 w skali całego kraju odeszło z zawodu nauczycielskiego cztery i pół tysiąca nauczycieli. Jakże są przychylni tego zjawiska i jak ten problem zarysował się w Łodzi?

— Istotnie, w ubiegłym roku szkolnym odeszła z zawodu spora grupa nauczycieli i wychowawców. U nas, w Łodzi ogółem 538. Z tej liczby 179 otrzymało roczne, płatne i bezpłatne urlopy, 140 przeszło na emeryturę. Do innych zawodów, na własną prośbę, odeszło 139 nauczycieli. Najwięcej, bo aż 51 osób, odeszło ze szkolnictwa podstawowego.

— Co ich skłoniło do zmiany zawodu?

— Głównym, choć nie jedynym, powodem była chęć poprawy warunków materialnych. Wiadomo, że nauczyciele pracują w zawodzie i w powołaniu i w swej pracy kierują się głównie motywami ideowo-moralnymi. I dlatego ich trudną i odpowiedzialną pracę należy wysoko oceniać. Niestety, nauczyciele należą jeszcze do grupy pracowników o niskim uposażeniu. Problem ten znalazł już jednak częściowe rozwiązanie.

Dalszy ciąg na str. 4

Jak zwiększyć dynamikę ruchu społecznego?

W związku z niedalekim spotkaniem społeczników Ziemi Łódzkiej, organizowanym pod hasłem „Sejmik Siłaczek i Judyków”, w redakcji „Odgłosów” odbyła się dyskusja na temat roli i rangi działania społecznego i postaw społecznych. W dyskusji udział wzięli: prof. ALEKSANDER KAMIŃSKI, I sekretarz KP PZPR w Radomsku — WŁODZIMIERZ WOSKOWSKI, przewodniczący ZW ZMW — ADAM DĄBROWSKI, działacz ZMW — MIECZYSLAW GUMOLA, redaktor PR JERZY URBANKIEWICZ oraz red. KAROL BADZIAK.

KAROL BADZIAK: Warto chyba na wstępie uściślić niektóre pojęcia, którymi będziemy tu operować. Chodzi szczególnie o rozróżnienie między społecznikiem a działaczem społecznym. Społecznik — to według mnie — człowiek działający społecznie w pojedynkę, niejako po partyzacku. Właśnie takimi byli Siłaczka i Judy. Z kolei działacz społeczny to czło-wiek działający w zespole, działający społecznie w ramach jakiejś organizacji. Myślę, że w dzisiejszych warunkach tylko on może działać skutecznie. Cały dorobek pracy społecznej w ostatnim ćwierćwieczu właśnie jemu (im) należy przypisać. Jest to dorobek ogromny, tak w sferze wartości duchowych jak i materialnych.

Niemniej wydaje się, że w ostatnim okresie dynamika ruchu społecznego nieco zmalała. Któż bowiem dzisiaj działa społecznie? Młodzież aktywizowana przez szkołę i organizacje młodzieżowe oraz renciści i emeryci. Pokole-

nie średnie, najbardziej energiczne zawodowo, poza nielicznymi wyjątkami społecznie jest bierne. W swym wyszyciu „do lodówki” nie ma czasu ani siły i chęci do większego udziału w pracy społecznej. W niektórych kręgach, szczególnie inteligencji technicznej i medycznej, panuje niedobry klimat dla działania społecznego.

Proponuje, abyśmy się w tym gronie zastanowili wspólnie, jak zwiększyć dynamikę ruchu społecznego, jak wzmocnić tę olbrzymią energię, drzemącą w społeczeństwie, jak uaktywnić roczniki najbardziej żywotne i zawodowo czynne.

Postawy ludzkie, z grubsza biorąc, można podzielić na zamknięte i otwarte. Zamknięte — egoistyczne, znane są powszechnie jako drobnomieszczańskie. Ze względu na konstruktywny charakter naszej dyskusji proponuję, o ile to możliwe, pominąć ten problem, natomiast skoncentrować się na postawie społecznej, otwartej, zaangażowanej.

Prof. ALEKSANDER KAMIŃSKI: W zasadzie zgadzam się z teząmi, postawionymi w zagajeniu i myślę, że jedną z podstawowych przyczyn tego, że działają społecznie, aktywność społeczna mniej mocno bije dzisiaj niż w minionych czasach jest przeświadczenie, iż, aby wykonać dobrze jakąś robotę, trzeba być specjalistą, trzeba — tę robotę umieć wykonać. Trzeba mieć odpowiedni czas, odpowiednie przygotowanie uczelniane, pozauczelniane. Przez pewien czas myślano w sferach socjologów, a także administracji państwowej, że w ogóle działacz społeczny — amator jest przeżytkiem, że lepiej i sprawniej wykona to pracownik społeczny, kompetentny, odpowiednio przygotowany, dysponujący czasem tak, jak zawodowcy zastąpili dawnych amatorów — społeczników, np. w szkole, w lec-

Dalszy ciąg na str. 4



PLENARNE POSIEDZENIE Komitetu Centralnego KPCz dokonało szeregu zmian w kierownictwie partyjnym i rządowym Czechosłowacji. O Czernika zastąpił na stanowisku premiera rządu federalnego L. Sztrougal, po którym przewodnictwem rządu czeskiego przejął J. Korczak. I sekretarzem KP Słowacji został J. Lenart. Zmienił się w części skład Prezydium KC KPCz. Z Komitetu Centralnego z różnych powodów odeszło 27 osób. Wymieniono 3 zastępców członków KC.

Co to wszystko oznacza?

Radio i prasa czechosłowackie podkreślają, że zmiany są logicznym następstwem poprzednich plenarnych posiedzeń, które wytyczyły linię socjalistycznego rozwoju. Aby zapewnić jej konsekwentną realizację trzeba było dokonać przegrupowań. Fakt, iż zmiany objęły nie tylko ludzi, związanych z niedawną przeszłością Czechosłowacji, przeczy ocenianiu ich jako czystki. Nikt nie odszedł za karę. Po prostu na miejsce odwołanych przyszli tacy działacze, którzy gwarantują bardziej zdecydowane realizowanie polityki odnowy. Zwracają, że omawiane plenarne posiedzenie podjęło problematykę gospodarczą, wytyczając kierunki wyprowadzenia ekonomiki CSRS z pewnego impasu. Czechosłowackie środki masowego oddziaływania odnotowały więc ostatnie zmiany personalne, jako przejaw dalszej wewnętrznej konsolidacji i kolejną fazę procesu zapewnienia spokoju i sprawnej funkcjonowania gospodarki.

Decyzjom plenum KC KPCz towarzyszą w prasie zachodniej różne spekulacje i „przewidywania”. Zaden jednak z komentatorów właściwie nie kwestionuje, iż dokonane zmiany oznaczają umocnienie się partyjnego i rządowego kierownictwa w Czechosłowacji.

A teraz kilka uwag NA TEMAT DWÓCH WIZYT, jakie miały miejsce w ostatnich dniach: Wilsona w Waszyngtonie i Brandta w Paryżu.

PREMIER W. BRYTANII po powrocie ze Stanów Zjednoczonych mówił o „niezwykle pozytywnym bilansie” swej podróży. Istotnie, jeśli mierzyć serdecznością przyjęć, jakie mu zgotowano, był to sukces. Ale (siódma już) podróż Wilsona do USA nie przyniosła wyników, jakich oczekiwano w W. Brytanii. Zgodność poglądów osiągnięto nie w poszukiwaniu dróg rozwiązania podstawowych problemów, lecz w potwierdzeniu dotychczasowych stanowisk. Dotyczy to zarówno NATO, jak i stosunków Wschód—Zachód.

Po wizycie nie opublikowano żadnego komunikatu. O treści rozmów wiemy jedynie z konferencji prasowej Wilsona i jego sprawozdania w Izbie Gmin. Z tych to źródeł dowiedzieliśmy się, że w rozmowie Wilsona z Nixonem podjęta była również kwestia europejskiej konferencji na temat bezpieczeństwa i współpracy. Opowiadając się za jej odbyciem, wyakcentowano jednak potrzebę „właściwego przygotowania”. Wysłunęto również drugi warunek: szerokiego zakresu tematycznego, a nie tylko „krótkiej listy tematów, zaproponowanych dotychczas przez kraje komunistyczne”. Wilson dodał, iż W. Brytania ma na temat bezpieczeństwa „konstrukttywne idee”. Zanim jednak zostaną one zgłoszone krajom Wschodu, będą przedyskutowane przez kraje NATO w Brukseli. Wszystko to razem nie może być ocenione inaczej, niż jako dalsza gra na zwolokę.

W czasie pobytu w Stanach Zjednoczonych premier Wilson nie szczędził słów wsparcia dla polityki amerykańskiej, w tym również wobec Wietnamu. Jako, że „obchód amerykańsko-brytyjskiej przyjaźni” (by posłużyć się określeniem „Washington Evening Star”) odbywa się nie częściej niż raz w roku, a zatem była to najprawdopodobniej ostatnia wizyta premiera przed wyborami w W. Brytanii — akt solidarności z polityką USA uznany został jako taktyczne potknięcie się Wilsona.

Pierwszą swą kanclerską wizytę złożył w Paryżu WILLY BRANDT. Było to kolejne, piętnaste spotkanie na szczycie francusko-zachodniemieckie, wynikające z postanowień Układu Elizejskiego. Towarzyszyła mu atmosfera odprężenia w dwustronnych stosunkach. Na czoło rozmów wysunęły się poza wzajemnymi kontaktami dwie kwestie: polityka otwarcia na Wschód oraz Wspólny Rynek.

Francja, która od dłuższego czasu nastawiona jest na zbliżenie z krajami socjalistycznymi, ustami prezydenta Pompidou dała wyraz aprobie dla rozmów politycznych NRF ze Związkiem Radzieckim, Polską (rozpoczynają się 5 bm. w Warszawie) oraz NRD. Brandt zrewanżował się zapewnieniem Paryża, iż nie będzie w nawiązaniu pełniejszych stosunków ze Wschodem uprawiać żadnej „partyjantki”, lecz odwołanie wykorzysta w tej dziedzinie doświadczenia swych współpracowników.

Kontrowersji nie wywołała również sprawa przyjęcia W. Brytanii do EWG. Zasada została już przecież ustalona i teraz chodzi jedynie o to, aby wejście W. Brytanii do Wspólnego Rynku nie osłabiło go. Ale jest to już wspólna troska i Francji i NRF.

Czy więc na linii Paryż—Bonn nie ma obecnie żadnych drastycznych problemów? Oczywiście są. Wydaje się jednak, że postanowiono nie akcentować ich teraz. Na to przyjdzie czas...

W. SŁAWSKI

Zewsząd o wszystkim

Jeśli przestępca był w rękawiczkach

„MAINITY DAILY NEWS” — TOKIO

Policja japońska opracowuje nowe metody wykrywania przestępców przy pomocy „odcisków głosu”. Każdy człowiek posiada bowiem indywidualne cechy głosu, które — podobnie jak odciski palców — mogą posłużyć jako dowód rzeczowy podczas śledztwa.

Pracownik japońskiego instytutu kryminalistyki, Maccumi Sudzuki, bada ten problem od r. 1963 i opracowane przez niego metody już nieraz sprawdziły się w praktyce. Największe trudności przy analizie „odcisków głosu” sprawiają zniekształcenia, powstające podczas rozmowy telefonicznej, a policja rejestruje głos przestępcy najczęściej przez telefon. Przy całym powodzeniu tej metody identyfikacji, wielu problemów nie udało się dotąd rozwiązać. W badaniach w tej dziedzinie biorą udział inżynierowie aku-

stycy, specjaliści fonetycy, lingwiści i psycholodzy.

Doktor Masao Ouisi, przydent japońskiego Towarzystwa Fonetycznego zaproponował dokonanie „spisu głosów” wszystkich mieszkańców kraju, co ma ułatwić pracę kryminologom. Językowy instytut naukowo-badawczy przygotowuje już lingwistyczny „Atlas Japonii”, na którym zaznaczono granice poszczególnych dialektów. „Odciski głosów” mają tę przewagę nad odciskami palców, że można je łatwiej przełożyć na „język” elektronicznej maszyny liczącej i przechowywać w jej „pamięci”.

Jak stwierdzono w toku badań, indywidualne cechy posiadają również odciski warg. Ustalono, iż ważką rolę w ukształtowaniu rysunku warg odgrywa dziedziczność.

W poszukiwaniu arki Noego

„REUTER” — LONDYN

Ekspedycja naukowa, podjęta przez amerykańskich archeologów odkryła na górze Ararat dwa kawałki drewna, które, zdaniem niektórych badaczy, są pozostałościami łodzi, opisanej w Piśmie Świętym, jako arka Noego.

Poszukiwania te mają swoją historię. W roku 1955, nie jaki Fernand Navarra, przedsiębiorca handlowy z Bordeaux, postanowił udowodnić, że arka Noego rzeczywiście istniała i w tym celu doznał nieładną wycieczkę do szczytu góry Ararat na wysokość 5.156 metrów. Niedługo od wierzchołka, pokrytego czapą śniegu, znalazł Navarra kawałek drewna obrobionego, prawdopodobnie, ręką człowieka. Navarra oderwał od niego kilka drobnych kawałków i przesłał je do instytutów naukowych w Europie i Stanach Zjednoczonych. Uczeń określił wiek

znaleziska na 4 tysiące lat. Należy wspomnieć, iż zdaniem badaczy Pisma Świętego zdarzenia, które zrodziły legendę o arce Noego, mogły się wydarzyć w okresie między 2500 a 4500 rokiem przed naszą erą.

Niedawno znaleziono dwa inne kawałki drewna powyżej granicy wegetacji lasów, niedaleko od miejsca, w którym 14 lat temu przebywał Navarra. Wydobły je spod kilkumetrowej warstwy lodu, który pokrywa niewielkie jezioro. Nawet ci uczeni, którzy sceptycznie oceniają legendę o arce Noego wierzą, iż na dnie jeziora spoczywa jakaś wielka budowla z drewna. Postanowiono, iż w roku 1970 przetransportuje się na szczyt Araratu ciężki sprzęt techniczny, przy pomocy którego będzie można uwolnić jezioro od mas lodu i wydobyć na światło dzienne ów tajemniczy przedmiot.

Zewsząd o wszystkim

Listy do redakeji

W odpowiedzi na artykuł jaki ukazał się w numerze 51-52/631-632 datowanym 21-22.XII. 69 r. pt. „Ja no szę kalosze” — Centrala Handlu Obuwem pragnie wyjaśnić przyczyny znalezionej się na rynku łódzkim znacznych ilości śniegowców PCV w kolorze perłowo-niebieskim.

obuwia w ilości 115.000 tys. bezpośredni odbiór śniegowców Centrala Handlu Obuwem lowo-niebieskim — upodobała była eksperymentalną partią zakładu, dla opracowania technologii produkcji i zgodnie z postulatami Ministerstwa Przemysłu Chemicznego została rozdzielona na trzy województwa.

— ze wszystkich opracowanych mieszanek kolorystycznych (w pierwszej fazie produkcji) najbardziej wiodniebieski, który różnił się w dostatecznych ilościach w sieci detalicznej, resowanie odbiorców.

Centrala podkreśla, że dostawy śniegowców w kolorze perłowo-niebieskim dla 3 województw: Warszawskiego, Katowickiego i Łódzkiego wynosiły 45 tys. par z czego dla województwa łódzkiego przypadło ca 14,5 tys. par.

— celem przyspieszenia dostaw — WPHO w Łodzi — udzieliło cesji przedsiębiorstwu detalicznej —

Apel do nauczycieli tajnego nauczania

Okręgowa Komisja Historyczna przy Zarządzie Okręgu ZBoWiD w Łodzi jest w trakcie opracowania monografii historycznej o tajnym nauczaniu na terenie m. Łodzi i województwa łódzkiego w okresie okupacji hitlerowskiej.

Zespół redakcyjny nie dysponuje jeszcze pełnym materiałem z tego okresu — prosi więc kolegów nauczycieli oraz inne osoby biorące udział w nauczaniu, o składanie materiałów informacyjnych i różnych dokumentów związanych z akcją tajnego nauczania.

Jesteśmy przekonani, że wszystkim zainteresowanym działaczom oświatowym z tego okresu, szczególnie nauczycielom, zależy na opracowaniu tej pięknej i b. ofiarnej działalności w ruchu oporu przeciwko okupantowi hitlerowskiemu.

Okręgowa Komisja Historyczna przyjmuje wszystkie zainteresowanych oraz materiały w lokalu ZBoWiD przy ul. Piotrkowskiej 211 w Łodzi — w środy od godz. 10.00 do 12.00 i w czwartki od godz. 18.00 do 20.00 pokój nr 10.

OKRĘGOWA KOMISJA HISTORYCZNA

Szkoła „upupiania”

Podobno podróż kształca, ale z braku okazji do podróży, nie gorzej można dokształcać się za pomocą lektury. Oto przykład. 23. I. br. w „Życiu Warszawy” i „Dzienniku Łódzkim” ukazały się dwie notatki o braku popularnego leku „Raphacholin”. Poczytajmy.

„ZYCIE WARSZAWY”

GDY BRAK JEST RAPHACHOLINU

Raz po raz sygnalizują nam Czytelnicy o braku Raphacholinu — leku żółciopędny i rozkurczowy. Produkcja tego popularnego preparatu opiera się na czarnej rzodkwi, ale jednym z składników jest kwas dehydroholowy(...)

W związku z trwałymi kłopotami spowodowanymi deficytem dehydroholu „Herbapol”, producent Raphacholinu (do niego bowiem sięgnęliśmy po informacje w tej sprawie) podjął próby wytwarzania preparatu o analogicznym działaniu, w którym kwas dehydroholowy udato się zastąpić innym składnikiem. Badania farmakologiczne

wypadły pomyślnie, ale pręparat czeka na wyniki badań klinicznych. Zanim ukaże się w aptekach — upłynie dobrych kilka miesięcy(...)

„DZIENNIK ŁÓDZKI”

CO Z RAPHACHOLINEM?

Od pewnego czasu łodzianie bezskutecznie szukają w łódzkich aptekach świetnego leku żółciowego o nazwie Raphacholin, używanego przy schorzeniach wątroby. Jak nas poinformował Łódzki Zarząd Aptek „Herbapol” musiał znacznie ograniczyć produkcję tego leku ze względu na brak surowca. Jak wiadomo ubiegłoroczna susza bardzo niekorzystnie odbiła się m. in. na zbiorach ziół, stąd trudności z otrzymaniem surowca do wielu leków produkowanych przez „Herbapol”. Sytuacja poprawi się jednak zdecydowanie w II półroczu, kiedy to do magazynów „Herbapolu” napływać będą ziola z nowych zbiorów(...)

Można powiedzieć, że prawdziwa susza jest dobra na wszystko. A Łódzkiemu Zarządowi Aptek przydaje się do wprowadzania w błąd.

W NASTĘPNYM NUMERZE „ODGŁOSÓW”:

- ◆ TADEUSZ TELMA — Armia Krajowa na Ziemi Łódzkiej
- ◆ JERZY WILMAŃSKI — Remanent nie—szalejącego reportera
- ◆ JERZY URBANKIEWICZ — Co to jest „bingo”?
- ◆ Felietony, recenzje, nowela kryminalna.

I czego my się z tego wyjaśnienia dowiadujemy? Pierwsza (ale za to zajmująca 3/4 listu) część powtarza to wszystko, co napisałam w moim artykule, nie ma więc z czym polemizować. Interesujący natomiast jest komentarz, w którym czytamy, że śniegowce nie są dodatkiem do modnego stroju, lecz posiadają określone przeznaczenie. Stąd wniosek, że to co powinno być modne (płaszcz, kapelusz, pantofle, torba itd.) nie ma określonego przeznaczenia. To coś zupełnie rewelacyjnie nowego. Tylko mężczyźni mogą coś takiego wymyślić! Choć na Zachodzie właśnie mężczyźni kształtują modę, ale oni zapewne wiedzą, że nie ma na kobiecie ani jednej sztuki odzieży spodniej i wierzchniej, która nie podlegałaby regułom mody. A szczególnie obuwie, obojętne — skóra, tekstylne, gumowe, czy z PCV. Wielka szkoda, że do ludzi, którzy u nas decydują o tym co kobiety będą nosić ta tysiącletnia prawda jeszcze nie dotarła.

T. WOJCIECHOWSKA

Szańczyk i Kamień

Aleksandrowi Kamińskiemu

Te dwa lata pracy Koła Akademickiego, najpierw w grupie dziesięcioposobowej, potem dużo większej, muszą gdzieś być w pamięci. Nikt ich stamtąd nie wykradł. Tyle że pokryte warstwą wszystkiego co potem. Coraz nowszych moich i nie moich, malowanych dzieł. Malowanych w coraz innej konwencji. Zdejmując od wielu tygodni te warstwy i wynik — jak po odsłonięciu starego malowidła. Widywałem to dziesiątki razy: na ścianach Soboru Sofijskiego w Kijowie, katedry w Nitrze, zamku w Lublinie, boguszycyckiego kościółka pod Rawą. Objawiają się oczom warte w ścianie fragmenty fragmentów, a-mebowate, wycute z barw — skrzydła, pod którymi zabrakło anioła Dobrej Nowiny, korona męczennika, bez głowy, które dała sigillum sanctificatis... Pisałem do Aluśki, czy przechowały się nasze protokoły, powierzone jej pieczy, potem zostawione, gdy przyszedł czas rozjęcia się we własne przemieszanie świata i wartości. Odpisała, że spędziła urlop w Bułgarii, marzy o wyjeździe „Orbisem” do Stambułu i że się starzeje. Pisałem do Szczepana. Opisał emocje, jakich dostarcza mu jego dzisiejsza praca, i żebym przedstawił dzieje Koła najdokładniej i bez lencji, gdyż to powinny być dzieje, a nie literatura. Sylwek oznajmił mi, że koło szkoły rola akacja, nie, jak napisałem w wierszu — klon, i że jego córka przeszła niedobrą bo spóźnioną odrę... Nie mam więc, jak dotąd, możliwości wypełnienia ułtyków pamięci. Pozostaje utrwalić, co jest — by dalej nie wietrzało. Mogę na przykład utworzyć w tej chwili...

To nie ja, to Rysiek otwiera tamte drzwi z byle jakiej tarczy. Mocuje się z kłódką. Wejście, jak zwykle na peryferiach naszego miasteczka, przez sionkę od ogrodu. Takie sionki to dostawiane przybudówki w architekturze stawek. Stoją w nich nieodmiennie kubły, miotły, narzędzia ogrodnicze. Po ciemku — jest już porządnie ciemno — można w cudzej sionce nastąpić na zęby grabi... i wziąć w łeb, aż gwiazdy zawirują... Z tego że jest porządnie ciemno, domyślam się, że to utrwalił się w pamięci jedenaśty listopad, a nie trzeci maj i nie rocznica Września, Rok 1943 — to na pewno. Teraz z sionki wysoki krok — próg jest deską, uroczywaną kantem do góry — i znajdujemy się w przytulnym, nieoczekiwanie obszernym pokoju. Wzdłuż ścian kolekcje mebli do spania, od zakleńniętej kanapy po dziecinne łóżeczka, pośrodku trzcinowy stolik. Czyje mieszkanie — nie wiem. Wtedy też nie wiedziałem. Rysiek miał zadanie zorganizować lokal — zorganizował i to jego sprawy. Drewniak w ciemnym ogrodzie... Zdaje się, że to było na krańcu Świętokrzyskiej, już blisko Arynowskich Błot. Nie ma gospodarzy, Rysiek mocował się z obcą kłódką, dlatego tak mu szło ślamazarnie. Czy ich nie ma, dlatego że nie chcieli przeszkadzać? Czy z niedostatku potrzeb i sentymentów? Czy typowa nielogiczność natury ludzkiej: dali lokal, ponieważ nie bali się, wyszli z domu, aby się nie narażać? Nie mógłbym więc ani tam trafić dziś, ani podać dla pamięci i chwały nazwisk ludzi, któ-

rzy użyli lokalu na konspiracyjną akademię narodową. Ilu nas tam było? Chyba że trzydziści osób, w tym kilkoro z Koła Licealnego, organizacyjki świeżo powstałej. Na nasz wzór i pod naszym patronatem. Urządza bardzo pomyslowe imprezy i dyskusje, wydaje własne piśmiennictwo wewnętrzne na maszynie. Organizacyjnie podlega — przypomniałem sobie — harcerstwu. Łączniczką między nami i nimi jest ich prezesa Sława Głowacka (skrót od Mirosława), prymus na kompletach, uznana przez ciało pedagogiczne za młodego geniusza. Doskonale rozwinięta fizycznie, z tych dziewcząt rosnących, świetnie wymodelowanych. Kojarzy mi się z posągiem Syreny na nadbrzeżu Kościuszkowskim. Skojarzenie tym silniejsze, że, poległa w powstaniu studentka Krystyna Krahelska, co pozwała rzeźbiarce, była autorką obiegających pod ziemię wierszy. W ciągu następnej ćwierci stulecia wielokrotnie, z zamiłowaniem i z funkcji, opiekowałem się początkującymi poetami. O niektórych mawiałem: niesłychanie zdolny. Wielu z nich nosi dziś głośne nazwiska w kręgach poetyckich — poetyckich, bo czytelnice... nie jestem pewien, czy istnieją. Wciąż mi się wydaje, że wiersze Sławy z tamtego okresu były i lepsze, i jedynie prawdziwe. Tylko, że umarły wraz z zawiruszeniem się w czasie jej „maszynopisowych tomików” (oryginał i dwie przebitki). Delegacja Koła Licealnego też ma dołączyć kawałek swego programu z przygotowanego na ich akademii.

Nie przypominam sobie siebie zagajającego. Chyba czegoś takiego nie było. Widzę natomiast Pelego. Siedzi przy tamtym trzcinowym stoliku, stolik uginą się, popiskuje swym budulem, aż zęby boją. Kartki szeleszczą. Jest pierwszym w naszym gronie podziemnym magistrem, z ekonomii. Jest też już kimś w szkolnictwie. My jeszcze wtedy nie uczymy na kompletach, z wyjątkiem Szczepana. Pelego ma referat o kłódkach nośności. Mało jest w nim mowy o Listopadzie, dużo o Niemcach, od Bismarcka po Oświęcim, i dużo o aktualnej sytuacji na frontach. Niektórzy, przywyczażeni, że u nas się notuje, sięgnęli po ołówek. Macham zabraniająco ręką. Mowa jest i o przyszłych granicach: dotarły wieści, że po zwycięstwie mamy otrzymać z powrotem wszystko, co nam zagrabili od samego początku. Kolportuje się nawet szczegółową mapkę. Powróćmy nad rzekę żelaznych słupów... Szczepan wstał, wydobyla ze skrzypiec tamte takty... Zrywamy się jak za dawnych zwyczajnych lat. Śpiewamy, czy kto ma słuch, czy nie ma i czy przemógł dławienie w gardle.

Głorka, współzałożycielka Koła, najpoważniejsza z nas, choć młodszą ode mnie o dwa lata i o rok studiów — recytuje jeden z krążących wierszy anonimowych: o Grecji, najechanej przez „wodza”, co nie zna piękna mowy starożytnych Greków i nie wie, że w tamtym kraju, gdzie wszystkie drogi zstępują do morza, narodził się LOS (dreszcz przebiega po plecach). Ten LOS znał z góry wszystkie jego Salaminy i zna ukrytą we mgle czasu Cheronę, a też i dzień, kiedy rozzerze się przed „wodzem” pieczara Hade-

su. Głorka recytuje inaczej, niż nas dotąd uczono: nie natęży głosu, a tylko lekko metalizuje słowa miękkim, jakby zmatowiałym, czasem tylko delikatnie wibrującym — srebrem...

„Będziemy znowu chodzić po swych własnych schodach” — obiecuje Głorka po chwili. Chodzę — chodzimy — po własnych, w domu jej ogólnie szanowanych rodziców teraz też okurza się je i pastuje z całą pedanterią: jest w tej pedanterii coś i z buntu — nieuznawanie faktu. Nikt nam schodów na razie — odstukać! — nie odebrał. Ale to nie jest chodzenie po własnych schodach. Będziemy jednak chodzić po własnych — nie podpisany, widać znakomity *) poeta jest tego równie pewny jak my, „i znowu w sklepiu zjawi się pieczywo”, tylko że przed nami droga i musimy być, jak...

— „PETRONIUSZ” — czyta Sławka, bo teraz właśnie ich część, z broszury: broszura ma tylko kartę tytułową, tytuł niegroźny i bezpieczny, przedwojenna data — „Petroniusz — czyta sciszonym głosem — obudził się zaledwie koło południa i jak zwykle zmęczony bardzo...” — Patrzymy po sobie ze zdumieniem, ale Sławka przerzuciła dwie, trzy strony i tym samym, w pierwszej sylabie beznamietnym głosem, ale w drugiej mocniej i w ostatnich jeszcze mocniej: — KAMIENIE NA SZANIEC Juliusza Góreckiego. — Znowu przewraca kartki i zaczyna wreszcie już bez przerywania od: „Manifestowanie rocznic narodowych wziął na siebie „Wawer” jako jeden z naturalnych obowiązków. Zośka i jego koledzy dwukrotnie w czasie swojej służby przeprowadzili akcję uliczną trzeciego maja i jedenastego listopada...”

Słuchamy z coraz to większą uwagą, zdumieniem, podziwem, z natłokiem uczuć, które zna i których nie zna „Psychologia” Witwickiego... W Warszawie, na uczeszcanych przez nas ulicach — Wojtek, Czarny i wielu innych młodych i trochę infantylnych harcerzy z organizacji „Wawer” dokonuje pod dowództwem harcerza o łagodnym, babskim pseudonimie Zośka aktów małego i większego sabotażu na skalę, że aż się wierzyć nie chce. A przecież z faktografii z opisów samej techniki poszczególnych akcji — coś się na tym znamy — z wiadomości o niektórych tych wyczynach, które dotarły do nas inną drogą (choćby to oderwanie tablicy z pomnika Kopernika) — widać jak na dłoni, że to wszystko prawda, a nie bujanie gości. I opowiedziane bez żadnych tam stylizacyjnych efektów i egzaltowanego rozpijania się. Jakby to były sprawy zwykłe i wcale nie tak trudne... Później, po latach czytywałem, a i redagowałem, opowieści retrospektywne o młodych śmiałych organizatorach sabotażu, pisane w tej samej mniej więcej konwencji opowiadania sprawozdawczego jednego tchem. Ale były to już rzeczy porwijające nieskończenie mniej, robiona prostota granicyła w nich z drętwością, zapadała raz po raz w letnią wodę i w mowotrą. No i — nie bagatela — nie były już relacjami na żywo, wprost z pola bitwy, gdy właśnie trwa i przybiera dzień po dniu na siłę. Relacjami ukazującymi wzorce osobowe — wprawdzie z białą plamą w miejscach, gdzie na leżałoby oczekiwać opowiedzenia się politycznego (co wkrótce zaczęła krytykować podziemna prasa społeczno-literacka), ale przez to tym bardziej adresowane do wszystkich młodych Polaków antyhitlerowskiego frontu. Relacjami niejako przeświełającymi czytelnika i wzywającymi...

Dziewczęta czytały na zmianę, długo — prawie dwa rozdziały. Słuchaliśmy z coraz większym przejęciem i coraz mniejszym zadowoleniem z siebie i swego do-



Fot. A. Wach

tychczasowego — jak to nazwać? — stanu służby.

Nie pamiętam zakończenia akademii ani o której wyszliśmy, czy z przygodami, czy bez. I czy doszło do skutku powtórzenie jej, z ostrożniejszym repertuarem dla osób starszych spoza naszego kręgu, ale — ręczyłem — pewniaków. Wiem, że wysuwali zastrzeżenia. Chyba — myślę teraz — słuszne... Pamiętam, że po obu naszych akademiach wzmogło się i nasilenie pracy w Kołach i właśnie różnokalibrowego sabotażu, choć to już nie były sprawy kół jako takich.

Niedawno parę dotkliwych ubytków pamięci usunęło mi wspomnienie drukowane w jednym z tygodników warszawskich, specjalizujących się w problematyce wojny i ruchu oporu pt. *Żałobna karta*. Opisują one krwawe wypadki 12 i 13 lutego w naszym mieście, kłękę, jaka zawisła nad akowskim podziemiem, aresztowanie i odejście w śmierć stu najczynniejszych. Mniejsza o to, że nie znany mi — a może raczej zapomniany — M. Kintzel włada stylem dalekim od poprawności. Przeczytałem tam między innymi:

„W pobliżu mieszkania „Morsa” znajduje się stacja odbiorczo-nadawcza, broń i amunicja. Trzeba to natychmiast usunąć mimo obstarwiania obstarwanej przez Niemców ulicy. Do wykonania tego zadania idą dziewczęta w wieku 14 — 18 lat: „Pol”, „Starucha”, „Maleńka”. Ładują aparat do kosza z bielnią i wynoszą. Ale trzeba usunąć jeszcze go poza miasto. W związku z tym że przejazd kolejowy, przez który wiedzie droga do Anieline, obstawiony był przez żandarmerię, dziewczęta, nie mając innego wyj-

cia... zatrzymują przejeżdżającą „budę” z żandarmami i proszą o podwiezienie do Anieline. Brawura była tak bezczelnie śmiała że nie wzbudziła żadnych podejrzeń. Żandarmi podwieźli dziewczęta i pomogli nawet odnieść ciężki kosz „z bielnią” do budynku, w którym go ulokowano. Po powrocie dzielne dziewczęta usunęły również broń i amunicję z zagrożonego miejsca...”

Te trzy dziewczęta to właśnie były uczestniczki tamtejszej akademii i zarazem lektorki pierwsze go tajnego wydania *Kamieni na szaniec* Aleksandra Kamińskiego. Nie fetyszyzuję bardzo znacznego w samej rzeczy oddziaływania literatury i daleki jestem na przykład od poglądów Mochackiego, że Konrad Wallenrod bezpośrednio zapalił ogień na Solcu. Książka Kamińskiego ukazała się wtedy, o ile wiem, w dość dużym nakładzie. Był zacytany. Nie fetyszyzuję niczego, pomyślałem o kamieniu. W sytuacji naturalnych spięrzeń geologicznych (w świecie zorganizowanym odpowiedzialnym takiego spięzienia bywa i wysoki szaniec, ale jakimś niemateryjalnym spięzaniem woli i energii jest walka w ogóle) zdarza się, że rzucony kamień powoduje uruchomienie masy szczególnej, zwanej w stężeniach krańcowych — lawina.

*) Chyba dopiero później, do-wiedziałem się od kolegów — po lonistów warszawskich, a zarazem poetów grupujących się wokół „Sztuki i narodu” oraz „Drogi” — że autorem pierwszego wiersza był Tadeusz Mierwiler, a drugiego Staff.

Fragment przygotowywanej książki „Jazd koleżeński”.

Listy
DO
REDAKCJI

DRUGA REDAKCJO!

Prasa łódzka w grudniu ub. roku zamieściła notatki o zali-

czeniu do klasy zerowej (najwyższa klasa światowa), obiektów sakralnych w Boguszycach składających się z drewnianego, z XVI w. kościoła oraz wieży z końca XVIII w. przeniesionej do Boguszyc z Lubochni. Kościół w Boguszycach posiada cenną gotycko-renesansową polichromię wykonaną ok. 1521 r.

Jest to cenne wyróżnienie, gdyż do tej pory woj. łódzkie posiadało tylko jeden obiekt tak wysokiej klasy osiemnastowieczny zespół pałacowy w Nieborowie wraz z parkiem sentymentalnym w Arkadzi. Jednak województwo łódzkie

na swych południowo-zachodnich krańcach (pow. Wieluń) posiada szereg cennych budowli drewnianych pochodzących przeważnie z początków XVI wieku. Wiele z tych zabytków można śmiało zaliczyć do grupy najcenniejszych dzieł architektury ludowej.

Jedną z tych pereł architektury drewnianej jest młyn wodny w Bolesławcu nad Prosną. Młyn zbudowany w I połowie XVI w. do ostatnich lat pracował, co prawda od kilku lat korzystał z silnika elektrycznego, a nie z koła wodnego. W chwili obecnej znajduje się on w opłakanym stanie, po sta-

rym kole wodnym nie ma śladu, rozbite żarna poniewierają się przed budynkiem. Część młyna usytuowana bezpośrednio nad starym korytem. Prośny chylił się ku upadkowi. Jeżeli w najbliższym czasie Wojewódzki Konserwator Zabytków nie zabezpieczy należycie budynku, to za kilka lat województwo nasze straci swój najcenniejszy zabytek budownictwa przemysłowego.

Innym ciekawym obiektem jest gotycki drewniany kościółek filialny w Grębieniu pochodzący z początku XVI wieku. Kościółek ten posiada polichromię z lat 1520—1530, odre-

staowaną w ostatnich latach przez Pracownię Konserwacji Zabytków. Poszczególne fragmenty polichromii przedstawiają poza bogatą ornamentyką roślinno-kwiatową, orla polskie go oraz postacie grajków: plebejskiego i dworskiego. W skład wystroju wnętrza wchodzi również piętnastowieczna rzeźba drewniana o charakterze ludowym. Poza wyżej wym. obiektami pow. wieluński posiada jeszcze 53 miejscowości z ciekawymi obiektami krajoznawczymi.

Cały ruch turystyczny w naszym województwie koncentruje się na kilku trasach: Łódź

— Łowicz — Nieborów — Żelazowa Wola, Łódź — Łęczyca — Oporów — Plock, Łódź — Piotrków Tryb. — Sulejów — Polichno — Tomaszów Maz. — Łódź — Sieradz — Kalisz — Góluńców.

A inne ciekawe tereny czekają, zapomniane przez turystów i lekceważone przez tych co kierują ruchem turystycznym. Sezon turystyczny jeszcze się nie zaczął, na razie planujemy trasy wakacyjnych wypraw, nie zapomnijmy w nich o pow. wieluńskim.

JAN ZIENKIEWICZ
społeczny opiekun zabytków

Dalszy ciąg ze str. 1

— Pesymiści mówią, że zawód nauczycielski „starzeje się”. Czy to prawda?

— Takie zjawisko może wystąpić w przyszłości, kiedy to przez kilka lat, w związku z niższym demograficznym, nie będzie potrzeby zatrudniać świeżych sił. Ustanie więc na pewien czas dopływ młodej kadry nauczycielskiej. Będzie to jednak okres przejściowy. War to w tym miejscu wspomnieć że w latach 1968 — 1975 nastąpi systematyczny spadek liczby uczniów w szkołach. Liczba dzieci w wieku szkoły podstawowej zmniejszy się w tym czasie blisko o jedną trzecią, to jest z 90 tysięcy do około 62 tysięcy. Zmniejszy się też liczba oddziałów o około 400, a co za tym idzie — również liczba zatrudnionych nauczycieli w szkolnictwie podstawowym.

Obecnie, pod względem wieku nauczycieli, szkolnictwo łódzkie znajduje się w sytuacji nader korzystnej. Ponad 76 procent nauczycieli ma mniej niż 40 lat życia, z czego blisko połowa liczy sobie poniżej 30 lat. 341 zatrudnionych nauczycieli jest w wieku emerytalnym.

— W Łodzi rozwiązano 2-letnie Studium Nauczycielskie, nie ma też Wyższej Szkoły Pedagogicznej. Cały ciężar kształcenia przyszłych kadr nauczycielskich spoczął więc na barkach wyższych uczelni. Czy, zdaniem Pana, sprosta one tym wymaganiom i czy młoda kadra nauczycielska, opuszczając mury uczelni, będzie dostatecznie przygotowana do wykonywania zawodu?

— Uważam, że tak. Kształcenie przyszłych nauczycieli dla wszystkich typów szkolnictwa odbywa się obecnie na łódzkich wyższych uczelniach. W ten sposób został spełniony postulat ZNP, aby nauczyciele szkół wszystkich typów i specjalności posiadali wyższe wykształcenie. W Łodzi mamy ku temu wszelkie warunki. Natomiast celowe jest istnienie w Łodzi liceum dla wychowawczyń przedszkoli, które z czasem, gdy wykształcenie średnie stanie się powszechne, powinno przekształcić się w zakład kształcenia wychowawczyń przedszkoli na poziomie półwyższym.

Kształcenie nauczycieli na Uniwersytecie i Politechnice wywołuje w naszym środowisku wiele dyskusji. Uważa się, iż wyższe szkoły pedagogiczne lepiej przygotowałyby nauczycieli do zawodu. Ale na korzyść uniwersytetu przemawia lepsza baza naukowa, lepiej wyposażone pracownie i lepsza kadra naukowa.

Natomiast wylania się inny ważny problem: absolwenci nauczycielskich uczelni niechętnie podejmują pracę w zawodzie nauczycielskim. W ub. roku, na 85 miejsce zgłoszonych dla absolwentów wyższych u-

czelni w Łodzi, obsadziliśmy zaledwie 33. Największe braki kadrowe odczuwamy w specjalnościach: mechanicznej — na 20 zapotrzebowano zgłosił się tylko jeden absolwent, w elektrycznej — na 11 zapotrzebowano zaledwie 3 absolwentów, i w budowlanej — na 11 zapotrzebowano nie zgłosił się nikt. Chcąc wyrównać te niedobory, szkoły musiały zatrudnić spoza środowisk nauczycielskich tzw. dochodzących nauczycieli przedmiotów zawodowych. Taka sytuacja wpły-

wa negatywnie na tok pracy w szkole.

Kuratorium, pragnąc rozwiązać ten niełatwy problem, przyznało na dwa ostatnie lata studiów wyższych stypendia fundowane. Zaoferowano je w bieżącym roku szkolnym 69 studentom różnych wyższych uczelni łódzkich.

NAUCZYCIELE DZIŚ I JUTRO

— Zawód nauczycielski jest sfeminizowany. Jakże to jest przyczyną i czy fakt ten powoduje jakieś zjawiska — pozytywne lub negatywne?

— Feminizacja zawodu nauczycielskiego jest zjawiskiem powszechnym i występuje nie tylko w naszym kraju. U nas, w Łodzi, około 75 proc. zatrudnionych nauczycieli i wychowawców stanowią kobiety, przy czym w wieku do lat 30 mamy ich pięciokrotnie więcej, niż mężczyzn.

— Dobrze to, czy źle?

I dobrze i źle. Feminizacja pociąga za sobą daleko idące skutki natury dydaktyczno-wychowawczej. Odnosi się to zarówno do procesu dydaktycznego przedmiotów zawodowych, jak i do procesu wychowawczego w szkole i poza szkołą. Nie ulega kwestii, że kobiety są bardziej wrażliwe i dlatego łatwiej im zrozumieć psychikę dziecka, i co za tym idzie — chętniej sięgają do różnorodnych metod wychowawczych. Z drugiej jednak strony na pewno trudniej im, niż mężczyznom, utrzymać uczniów, a szczególnie kilkunaścioletnich chłopców w należytym dyscyplinie. Dlatego przy zatrudnianiu nauczycieli należy zachować w tym zakresie właściwe proporcje. Problem ten wymagałby zresztą szerszego go rozwinienia.

— Czy nauczyciel ma czas na podnoszenie swoich kwalifikacji zawodowych? Jakże to jest trudności i w jakim kierunku zmierza działalność Związku, aby te trudności usunąć?

— Do tradycji ZNP, obok troski o odpowiednie warunki pracy i bytu nauczycieli, należy również troska o podwyż-

szanie ich kwalifikacji zawodowych, ponieważ one decydują o poziomie i wynikach pracy w szkole. Nic więc dziwnego, że w centrum uwagi naszego Związku pozostaje kształcenie, dokształcanie i doskonalenie pracy nauczycieli i wychowawców.

Ogólnie rzecz biorąc, jesteśmy w czołówce kraju, 90 proc. nauczycieli w Łodzi posiada studia wyższe i półwyższe, 6,4 proc. — wykształcenie średnie, a 3,6 proc. — są to nauczyciele zawodu — niepeł-

ne średnie. Część nauczycieli kontynuuje studia wyższe w systemie zaocznym, część uzupełnia wiedzę na kursach w Okręgowym Ośrodku Metodycznym. Prowadzi się szkolenie ideologiczne w organizacjach partyjnych. Ponadto doskonale nie kwalifikacji zawodowych odbywa się również w ramach konferencji rejonowych i obejmuje w zasadzie wszystkich nauczycieli.

— Wymaga to dużego wysiłku, biorąc pod uwagę wyzerowaną i nerwową pracę nauczyciela w szkole.

— Tak. I dlatego Zarząd Okręgu ZNP stoi na stanowisku, że nauczyciel, który doskonali swój warsztat pracy w sposób planowy, podkreślam — planowy, powinien być odciążony od nadmiernych obowiązków w pracy społecznej i od innych zajęć pozalekcyjnych. Zależy nam na tym, aby mógł on spokojnie pracować w ramach obowiązującego wymiaru godzin i bez zbytejnego pośpiechu i nerwowości uczestniczyć w tej formie doskonałemu lenia swej pracy zawodowej, którą sobie obrał. Bez niezbędnej spokoju na czytanie, na refleksję pedagogiczną — nie

może być mowy o podwyższeniu kwalifikacji.

— W środowisku nauczycielskim można się spotkać z opinią, że zawód nauczyciela jest niedoceniany, że nie widzi się ważnej roli pedagoga w nauczaniu i wychowaniu młodego pokolenia.

— Owszem, słyszy się takie opinie, ale są one niesłuszne. Poczucie nauczyciela i ranga tego zawodu w społeczeństwie powinny być rozpatrywane wielostronnie. Wszędzie tam, gdzie pytamy o poważanie społeczne, o to, czy zawód nauczyciela jest uznawany, potrzebny, ważny, interesujący, — zawsze spotykamy się z wysoką oceną zawodu nauczycielskiego. Potwierdzają to szerokie badania socjologiczne. Natomiast rozpatrując pozycję nauczyciela pod kątem jego pozycji materialnej, dostrzegamy w ocenie społecznej niechęć do ewentualnego podjęcia pracy w tym zawodzie, właśnie z powodu niskich zarobków. Ale, jak już o tym wspominałem wcześniej, problem ten jest obecnie stopniowo rozwiązywany.

— Nieraz, najchętniej na wywiadówkach, rodzice mają pretensje, że nauczyciel nie wychowuje dzieci. Zarzut tylko częściowo słuszny, bowiem dzieci powinni wychowywać przede wszystkim rodzice. Nie mniej, w naszym przemysłowym mieście, gdzie nieraz, w domach, dzieci „mijają się” z rodzicami, sprawa ta wymaga wyjaśnienia.

— Tak, sprawa jest trudna i skomplikowana. Zagadnienie wychowania, obok nauczania, było i jest w centrum uwagi szkoły. Obecna, zreformowana szkoła, w swych programach nauczania i wychowania, zwraca szczególną uwagę właśnie na funkcję opiekuńczo-społeczną szkoły. Nie zwalnia to jednak podstawowej komórki społecz-

nej, jaką jest rodzina, od obowiązków stałego zwiększania troski o wychowanie własnego dziecka. Ostatnio wiele się mówi i pisze o jednolitym frontie wychowania — w domu i w szkole.

Zarząd Okręgu, doceniając wagę tego zagadnienia, szczególnie w warunkach naszego miasta, jedno ze swych najbliższych posiedzeń plenarnych poświęcił w całości tym właśnie sprawom.

— Z jakich form pomocy materialnej korzystają członkowie Związku?

— Prowadzimy kasy zapomogowo-pożyczkowe, które na przykład w roku ubiegłym udzieliły pożyczek na ogólną sumę ok. 18 milionów złotych. Udzielamy pożyczek na remonty, pożyczek budowlanych i na kaucje mieszkaniowe. W ciągu roku z tej formy pomocy korzysta przeciętnie 250 osób, na ogólną sumę ponad dwa miliony złotych. Zapomogi bezzwrotne z budżetu rad zakładowych kształtują się w ciągu roku w granicach przeszło 260 tys. zł., a około 130 tys. złotych przyznaje na ten cel bezpośrednio Zarząd Okręgu ZNP. Obok tego, dzielnicowe rady narodowe dysponują dość znacznym funduszem na zapomogi bezzwrotne, z których korzystają nauczyciele zarówno czynni, jak i emeryci. Zasługi statutowe, zgodnie z przepisami w tym zakresie, otrzymało w roku 1969 — 175 osób, na ogólną sumę 273 tys. zł. W ramach działalności Ośrodka Usług Pedagogicznych niesiemy pomoc materialną dzieciom nauczycieli, które uczą się języków obcych. Ponadto 750 dzieci nauczycieli korzysta ze zniżek w różnych opłatach, na sumę 180 tys. zł. rocznie. Pomoc materialna dla emerytów — członków naszego Związku, obok zapomóg bezzwrotnych, obejmuje dopłatę do wycieczek, opłatę biletów

teatralnych, sklerowań na wczasach itp.

— Nad jakimi aktualnymi sprawami pracuje Zarząd Okręgu?

— W najbliższych miesiącach zajmujemy się ważnymi sprawami postępu pedagogicznego. Uważamy za celowe powołanie Rady Postępu Pedagogicznego i stworzenie funduszu postępu pedagogicznego. Łódzkie środowisko pedagogów stać na wydawanie własnego czasopiisma pedagogicznego i w tym kierunku już niebawem podejmiemy odpowiednie kroki.

Komisja Nauki przygotowuje spotkanie pracowników naukowych wyższych uczelni łódzkich i pracowników naukowych instytutów z przedstawicielami przemysłu, aby określić formy współpracy nauki z przemysłem. Chcemy sprężyć znową rolę związku i nauczycieli w tworzeniu jednolitego frontu oddziaływania wychowawczego na młodzież. Uważamy, że wśród form wychowania politycznego powinny się znaleźć spotkania władz politycznych i gospodarczych naszego miasta z łódzkimi pedagogami.

Naszą nieustanną troską jest rozwój pomocy materialnej i socjalnej zarówno czynnym związkowcom, jak i kolegom emerytom. Pragniemy więc zorganizować własne ośrodki wypoczynkowe, jest to bowiem jedyna droga wzrostu liczby skierowań na wczasach. Sprawie tej poświęciliśmy wiele uwagi.

Kuratorium przystąpiło już do adaptacji lokalu przy ul. Piotrkowskiej na przychodnię specjalistyczną dla nauczycieli. Wpływność to w znacznym stopniu na podniesienie stanu opieki lekarskiej wśród członków naszego Związku.

Obok tych najpilniejszych zadań mamy, oczywiście, w polu widzenia mnóstwo innych, ale przecież nie sposób powiedzieć o wszystkich.

— Panie Prezesie, dziękując Panu za rozmowę, pragnę jeszcze dodać, że pominieliśmy w niej wiele ważnych spraw, jak na przykład trudne problemy szkolnictwa specjalnego, szkolnictwa zawodowego, wychowawczyń przedszkoli, opieki nad dzieckiem, roli rodziców w wychowaniu dzieci, problemów środowiska nauczycielskiego. Te i inne sprawy moglibyśmy poruszyć bezpośrednio sami nauczyciele na łamach naszego pisma, które chętnie dla nich otwieramy.

— Przyjmujemy tę ofertę z wdzięcznością i jestem przekonany, że nasze środowisko nauczycielskie chętnie skorzysta z okazji, żeby na łamach „Odgłosów” poruszyć tak ważne dla naszego miasta problemy nauczania, oświaty, wychowania młodzieży, a także blaski i cienie pracy pedagoga.

Rozmawiał:

WŁODZIMIERZ STOKOWSKI



Jak zwiększyć dynamikę ruchu społecznego?

Dalszy ciąg ze str. 1

nictwie itd. Przekonał się jednak, w ciągu ostatnich 10 lat, że w krajach socjalistycznych, a i w państwach kapitalistycznych, bez działalności honorowych, ambitnych działaczy społecznych, wiele odcinków życia społecznego może szwankować. Kilka przykładów z terenu polskiego. Np. opiekunowie społeczni. Grupa opiekunów społecznych w Polsce wynosi około 60 tys. ludzi i opiera się w 96 proc. na ludziach dobrowol-

nie pełniących zadania opieki społecznej. Ogromna większość kuratorów opiekujących się nieletnimi przestępcami, a ostatnio i więźniami dorosłymi, przedterminowo zwalnianymi, to też amatorzy, społecznicy, wywodzący się przeważnie z organizacji młodzieżowych.

Tak samo w związkach zawodowych wzrasta potrzeba i ranga działacza społecznego ochotniczego. Myślę, że czas sprzyja idei — honorowania i życziwego traktowania przez kierownictwo życia

społecznego i przez społeczeństwo amatorskiej, ochotniczej działalności społecznej. Zebraliśmy się więc nie u schyłku działalności społecznej, lecz na linii wznoszącej się stopniowo od pewnego czasu.

WŁODZIMIERZ WOSKOWSKI: Do sprawy społecznika należy podejść historycznie. Ja już piętnasty rok jestem pracownikiem aparatu partyjnego, a przedtem — w organizacjach młodzieżowych — ZWM. Wciągną swojej pracy spotykałem wielu ludzi, którzy kosztownym wyrzeczeń osobistych wykonywali prace społeczne. Wydaje mi się, że kiedyś było znacznie więcej społeczników na etatach. W tej chwili tego nie ma. Działalność społeczna jest prowadzona nie za pieniądze. I trzeba powiedzieć, że efekty wcale nie są gorze. Mogłbym podać dziesiątki wsi, gromad, gdzie bez etatu dobrze się rozwija działalność społeczna. A że w tej chwili od społeczników nie żąda się jakichś wielkich wyrzeczeń, to chyba dobrze, bo poziom ogólny w kraju jest wyższy.

Chciałbym również zwrócić uwagę na to, że ze społecznikami z prawdziwego zdarzenia spotykamy się znacznie częściej na wsi niż w mieście. Mam tu na myśli

pracę społeczną przy budowie dróg, remiz strażackich, świetlic. Tu jest znacznie pełniejsze zaangażowanie.

Czy można porównać społecznika roku 1969 ze społecznikiem 1950 r.? Sprawa kwalifikacji i specjalizacji jest sprawą pierwszorzędnej wagi. Zgadza się, że człowiek działający w pojedynkę jak Judym czy Siłaczka, nie mają racji bytu, chociaż z drugiej strony muszą być jednostki, które pociągają za sobą kolektyw. Pojedynczy Judym i Siłaczka nie muszą pracować w pojedynkę, istnieją szeregi organizacji, o które mogą się oprzeć.

Działacze społeczni to nie tylko młodzież i emeryci. Wśród 30- i 40-latków spotykamy również wielu działaczy społecznych, którym nawet posiadanie 4 kółek nie przesłania świata. Wokół społeczników należy stwarzać dobry klimat — pokazywać, widzieć ich. Są oni przez społeczeństwo otoczeni szacunkiem, ale chyba w niedostatecznym jeszcze stopniu, mimo, że w instancjach partyjnych, w radach chęć się tych ludzi widzieć, doceniać. W zakładach pracy jest wielu świetnych racjonalizatorów, społeczników i tu trzeba coś poprawić w tym sensie,

żeby tych ludzi załoga знаła, żeby to był jakiś wzorzec do naśladowania. Często się bowiem zdarza, że załoga lepiej zna tego, który do brzo kopie piłkę, niż społecznika.

ADAM DĄBROWSKI: Ja chciałbym mówić o organizatorach pracy społecznej.

Trudno dziś doszukiwać się Siłaczki czy Judyma w dawnym tego słowa znaczeniu, niemniej istnieje zjawisko wybijania się organizatorów pracy społecznej. Często się zdarza, że zespół artystyczny, klub przestają istnieć, kiedy zabraknie jednego człowieka. Dlatego musimy dostrzegać i doceniać rolę jednostek zaangażowanych w pracę społeczną. Działacze społeczni bardziej dostrzegani są w środowisku wiejskim, niż w mieście. Spotykamy bardzo aktywnych społeczników w zakresie podnoszenia gospodarki wiejskiej i kultury. Do społeczników zaliczyłbym bowiem również ludzi, działających w kierunku podnoszenia ogólnego poziomu gospodarowania na wsi. Mogę służyć przykładami. Młody chłonek działacz ZMW z pow. wieruszowskiego, Smorawski, poprzez swoje uczestnictwo w zespole przysposobienia rolniczego w Czastarach, przyczynił się do podniesienia po-

BEDZIE? KRYMINAŁ

W szparze drzwi pojawia się wąska smuga światła. Pada na kafełki podłogi, oświetla kolejno pełną nieświeżej wody wannę, porzuconą niedbale gąbkę, mydło, grzebień. Ktoś, pokonując skrzywienie drzwi, przemyka się ostrożnie do łazienki; tężeje na chwilę, nasłuchując uważnie w ciszy pustego mieszkania. Potem przebiega palcami ręcznik, szybko penetruje kieszenie szlafroka, zbliża się do apteczki. Sprawnie żonglując buteleczkami i stołkami, uważnie bada ich zawartość. Nagle gwałtownie nieruchomieje. (Fragm. scenopisu).

1.

— Słuchaj, Piotr. — To bardzo trudne zadanie aktorskie. Drzwi lekko uchylone: wchodzisz wolno, z wahaniami, nieostrożnie potrącasz drzwi. Otwierają się — ja tu sobie podłożę dźwięki pisk... Potem start do wanny, pochylasz się z pewną rezerwą, jakbyś spodziewał się znaleźć tam trupa. — Dotykasz ręcznika, również z widocznym wahaniami — przecież wycierał się nim facet, który już nie żyje! Podchodzisz do apteczki...

A na ekranie widzę to tak: wędrowniaki światła po przedpokojach i łazienkach sugerować ma rekonstrukcję przybycia do pustego mieszkania. Nagle w zasięgu jasności pojawia się cień ręki — snop światła na kłamek — ręka nieznanego momentalnie uchyla drzwi. Kamera na mydelniczkę, poszerzenie planu o wannę, szlafrok, apteczkę — w ten sposób przedłużamy moment oczekiwania na identyfikację faceta. I stop, koniec ujęcia. Pamiętasz główne punkty oświetlenia? Zaraz pojedzie my!

— Halo, panowie. Proszę spać, widać te drzwi, przecież to mają być stare drzwi z przedwojennej czyszówki! I sznurek, tu powinien jeszcze wisieć sznurek. Taki z typowej męskiej, ohydnej łazienki... Nie ma? — A co z tą pianą? Dobrze. Proszę o klaps! — Chwileczkę, chwileczkę — dlaczego ta woda tak wolno kapie, niech kapie prędzej! Kto tam stoi na rurze? — Kaziu, zleń wreszcie z tej rury! Światła! Tył naszkicować wyżej! Piotr na plan, kręcimy na ostro! Uwaga! Ujęcie 121 — Klaps!

2.

W jednej z hal łódzkiego atelier, zespół „Plan” pod kierownictwem artystycznym Ryszarda Kosińskiego, realizuje nowy polski „dreszczowiec” pod tytułem „Zapalniczka”. Ekipa filmowa składa się z reżysera — Krzysztofa Szmagiera, operatora — Wiesława Rutowicza, kierownika produkcji — Jerzego Niteckiego; główną rolę powierzono młodemu debiutantowi — Piotrowi Frączkowi. Ponadto bierze w filmie udział szereg znanych aktorów. Szmagier, dziennikarz i absolwent Wydziału Reżyserskiego Łódzkiej PWSTiF, do fabuły przybył wprost z Wytwórni Filmów Dokumental-

nych. „Zapalniczka” jest jego fabularnym debiutem.

W przerwie między ujęciami reżyser podaje szereg ciekawostek, dotyczących realizowanego właśnie filmu:

— Fabuła „Zapalniczki” opowiada o walce naszych organów bezpieczeństwa z agentami obcego wywiadu. Jest ona oparta na autentycznych wydarzeniach, jakie rozegrały się w Warszawie w 1957 roku. Tu ciekawostka: otóż gdy przed stawiałem scenariusz Komisji Oceny, padł zarzut, że fakty, o których opowiada, są zupełnie nieprawdopodobne. Film zamierzam realizować techniką dokumentalną, będzie to więc niejako kontynuacja mojej poprzedniej działalności. Ponadto sądzę, że dokumentalizm jest najskuteczniejszą metodą zbliżenia filmu do współczesnego widza. „Kryminał” musi mieć charakter utworu, pozostającego w bezpośrednim związku z rzeczywistością, tzn. potocznością. W związku z tym większość zdjęć starałem się realizować we wnętrzu naturalnych. Oczywiście, nie zawsze jest to możliwe i to z rozmaitych powodów: często pomieszczenia naturalne są zbyt ciasne dla rozmieszczenia ekipy i aparatury; czasem, jak w przypadku stanowiska oficera dyżurnego MO, z wnętrza naturalnych rezygnujemy, aby nie zakłócać normalnego toku pracy funkcjonariuszy Komendy Głównej; Wiedź, gdzie rozgrywa się kilka scen, również musieliśmy zamarkować.

Dla maksymalnego urealnienia filmu, do odtwarzania postaci głównego bohatera zaangażowałem mało znanego jeszcze, młodego aktora, Piotra Frączkowskiego — on i szereg „naturalistów” podnoszą walor autentyczności filmu.

„Zapalniczka” będzie miała dość osobliwą koncepcję fabularną. Na czym polega jej „inność”? — Otóż zwykle reżyser wprowadza widza na spreparowaną już scenę, znaczy to, że znajduje się tam już trup i pełen asortyment podejrzanych. Zadaniem reżysera pozostaje ukazanie pełnego toku śledztwa, a zasadnicze pytanie brzmi: **kto jest winien?** U mnie brzmieć będzie ono nieco inaczej, a więc: **czy będzie trup?** Dramaturgia filmu odpowiadać będzie ściśle regułom gatunku kryminalnego, a więc: zreżna intryga (!) wartki tok akcji i ścisła dyscyplina w budowaniu napięcia. Szczególną rolę przypisuję budowie suspensów,

czyli „chwil grozy”, ilość takich momentów oraz ich prawidłowa konstrukcja stanowiące mogą o randze filmu. Założeniem „dreszczowca” jest budzenie niepokoju, jeśli widzom ze strachu zapierać będzie oddech, będą uważali, że spełniłem do brze swoje zadanie.

— Panie Zygmuncie — reżyser zwraca się do Kestowicza. — Budujemy następnego dreszczowca. A więc tak: snop światła na pańską leżącą sylwetkę — efekt — trup z otwartymi oczyma, może nawet zwisająca bezwładnie ręka... Kamera wspina się po ręce, skok na nieruchomą twarz i nagle... trup się odzywa!

3.

Cyklicznie, co pewien czas, pojawiają się w naszej prasie wzmianki tej mniej więcej treści: „Na ekranie wchodzi właśnie nowy polski film sensacyjny. Będzie to współczesny „kryminał” bez makabry, bez pseudonastrojów, bez niesamo-

zyjna i filmowa proponuje dwie koncepcje: pierwszą nazwać by można modelem „Agatha Christie”. Autorzy umieszczają akcję w fantastycznej krainie zwanej Anglią. Stanowi ona dla tego gatunku rodzaj Arkadii czy Tebaidy, czyli mityczny teren, na którym rozgrywa się wydarzenia, wymagające t.zw. colour locale. A więc fantastyczna Anglia, ponury zamek, np. Blackwater Hall, detektyw-amator, o uważnym, lecz broń Boże, penetrującym spojrzeniu, no i na koniec stawka, która stanowi fortuna denata plus chińska waza z epoki Ming.

Drugą kategorię stanowią filmy, które są próbą mechanicznej polonizacji wzoru nr 1. Różnice między nimi są rzędu tylko akcesorialnego, jakgdyby Anglik serio został nagle odarty ze swego naturalnego uniformu, sztuczowego garnituru, melonika i laseczki i przyobleczony w roboczą kombinezon a la No wa Huta. Zamiast inspektora Evansa, występują nasi demokratyczni



witości. Film obfituje w atrakcyjnie ukazane bijatyki, karkołomne pogoni, pełne emocji sytuacje. Niestety realizatorom nie udało się w pełni, etc. etc.”

I tak bez końca — filmy wciąż obfitują i ciągle komuś nie udało się w pełni. Do dziś powszechny jest fatalistyczny stosunek polskich reżyserów do gatunku kryminalnego — dla każdego nieomal twórcy „dreszczowca” stanowi kategorię podrzędną, zarówno w sensie warsztatowym, jak i ambicji intelektualnych. Konsekwencją tego stanu jest wciąż trwająca dezorientacja. Polacy ambitnie odwołują się do modelu angielskiego, wiążącego wątek kryminalny z komediowym, i od francuskiego, zawierającego elementy makabry i pikantii, a także, o niespodziewanie, odwołują się do doświadczeń Czechów, dla których kryminał stanowi rodzaj sondażu społecznego. Na opustoszałe miejsce nie proponują jednak nie konstruktywnego, pozukiwania i usiłowania stworzenia własnego, polskiego modelu „wstrząsawca” trwają.

Polska produkcja literacka, telewi-

notable o pozytywnych, na wskroś krzepiących nazwiskach: Wala, Ziętek, Florczak; ponieważ akcja modełu angielskiego rozgrywa się w przestarzałym zamku (pożądany szkocki gotyk), w polskim thrillerze zastępuje się go równie ekskluzywnym zamkiem w Kórniku lub wytwornym hotelem w Międzyzdrojach; stawka, dla której morderca ryzykuje się życie, jest z braku wielkich fortun, np. obraz z kolekcji państwowej. Na tym niestety kończą się konsekwencje, ponieważ ani fabuła nie posiada logiki i klarowności angielskich antenatów, ani warsztat nie jest tak znakomity, jak w wymienionych powyżej. W konsekwencji powstają „kryminały” ładnie i nieatrakcyjnie formalnie. Krzyż pogłębia się, lecz wciąż trwają usiłowania wyrwania się z impasu, nadania polskiemu „kryminałowi” własnego, niepowtarzalnego, ściśle zdeternowanego naszą rzeczywistością piętna.

Może panu Szmagierowi dopisze Fortuna? Z uwagą oczekujemy rozstrzygnięcia zastających już wątpliwości.

18 lutego 1970 r.

Sejmik

Silacek i Judymów

Ziemi Łódzkiej



„TAJEMNICA
RICHARDA SORGE”

Najnowsza książka Grzegorza Jaszuskiego penetruje wciąż jeszcze nie odkryte do końca tajemnice działalności Richarda Sorge. I chociaż książka na temat dr Sorge napisano kilka, choć film spopularyzował także jego działalność w Tokio — wciąż jeszcze pasjonuje nas ta wspaniała, tajemnicza i tragiczna postać.

Richard Sorge wiedział, że codziennie ryzykuje życiem, gdy pod maską hitlerowskiego dziennikarza zaczął pracę dla radzieckiej wywiadu. Działał w Tokio w czasie drugiej wojny światowej. Pozyskał zaufanie niemieckich dyplomatów i japońskich polityków. Zdobywał informacje przekazywał do Moskwy. Dzięki niemu przywódcy radzieccy dowiedzieli się, że Japonia nie zaatakuje Związku Radzieckiego i mogli przetrwać z Dalekiego Wschodu do Europy dywizje tak potrzebne dla obrony przed agresją hitlerowską.

Wykorzystując materiały radzieckie, niemieckie i amerykańskie, autor przedstawił fantastyczne dzieje Richarda Sorge na tle ówczesnej sytuacji międzynarodowej.

Grzegorz Jaszuski „Tajemnica Richarda Sorge”, Czytelnik 1969 — cena 10 zł.

ziumu gospodarowania. Także społecznostwo starszych jest przez młodzież bardzo wysoko ceniłone. W pow. pajęczańskim i brzezińskim działa lekarz, Władysław Grzesiuk, który tkwi w tym środowisku od 40 lat, tj. od ukończenia studiów. Ma tu wielkie zasługi w likwidowaniu jaglicy. W Praszce mieszka samouk, samodzielny konstruktor maszyn włókienniczych, które zdobywały nagrody międzynarodowe na Targach w Poznaniu, łącznie z kontraktami zawierającymi między innymi dzielnią a państwami europejskimi. Jest on wykładowcą w tamtejszej szkole mechanizacji rolnictwa. Swoich wynalazków nie kryje, lecz udostępnia uczniom.

Ale mamy również sygnały przykre. Młodzież twierdzi często, że kiedyś nauczyciel oprócz nauczania, zajmował się także wychowaniem. Kiedyś przywiązanie nauczycieli do uczniów i zainteresowanie ich przyszłością było znacznie większe. Społecznostwo nauczycieli pod tym względem jest mniejsze niż było dawniej w środowisku wiejskim.

MIECZYSLAW GUMOLA: Judym roku 1970 jest człowiekiem poszukiwanym, ponieważ jako je-

den z pierwszych uświadamia sobie potrzeby środowiska. Jeśli działa w oparciu o organizację, może działać więcej dlatego, że ma ona program działania, który w wielu wypadkach pokrywa się z programem jego działania. Jaki ma cel? Niwelować różnice i upowszechniać wartości, które są już ogólnie dostępne w wyniku przemian społeczno-politycznych. Jeśli w tym kontekście porównamy cel Judyma z celem organizacji, to stwierdzimy, że podobne założenia ma szereg organizacji, działających w kraju, a szczególnie na wsi — upowszechnienie zdobywczej techniki, oświaty, zdrowia, podniesienie plonów. To są cele organizacji. W tym układzie rozsądny Judym będzie szukał sojuszników i dla tych organizacji sam będzie sojusznikiem. Dzisiaj Judym jest najczęściej człowiekiem młodym, niejednokrotnie próbującym swoich sił na różnych polach działania.

JERZY URBANKIEWICZ: Dla mnie jest bardzo niesprecyzowane pojęcie tej pracy społecznej, o której mówimy. Bo po pierwsze: gdzie jest różnica między pracą zawodową, a pracą społeczną? Kiedy powstaje konieczność wejścia,

ingerencji czynnika społecznego? Wydaje mi się, że w wielu wypadkach, gdyby praca zawodowa była wykonywana tak, jak być powinna, nie byłoby wcale potrzeby, aby tam wkroczył jeszcze czynnik społeczny.

Po drugie — należy rozróżnić pracę społeczną organizacji społecznej i pracę społeczną Judyma i Silaczki. Człowiek zaangażowany społecznie w organizacji najczęściej jest awansowany również i na jakieś wyższe stanowisko zawodowe. To jest słuszne. Ale widzę z drugiej strony np. samotnego renciście. Dlaczego mówię — samotnego? On właśnie jest tym Judymem. Dlatego, że grupa społeczna szeroko rozumiana, w której on działa, bardzo chętnie akceptuje taką postać w swoim środowisku. Zdejmuje ona z pleców wielu ludzi różne obowiązki — i trzeby, których załatwienie tak czy inaczej musi się dokonać.

Jako dziennikarz zetknąłem się kiedyś z taką Silaczką. Opowiadała mi o swojej pracy społecznej. Mówiła o tym, jak pomaga ludziom chorym całkiem prywatnie, z własnej inicjatywy, pomaga — nie realizując żadnego programu

jakiejś organizacji. Skojarzyło mi się to z opowiadaniem Tolstoja — „Ojciec Siergiej”. Są tam dwie postaci. Kobieta prosta, której się zdaje, że nic nie robi dla zbawienia, bo przecież tylko odbiera ziemi niaki i pierze białinę — i ojciec Siergiej, który wszystko robi dla zbawienia. Na koniec jednak okazuje się, że warunki do zbawienia ma ta prosta kobieta, która, nie wiedząc o tym, co robi, zrobiła bardzo dużo — więcej, niż ten powołany do służenia Bogu i zbawieniu człowieka. Widzę tu podobieństwo do sytuacji, kiedy widzimy ludzi powołanych do wykonywania wielkich zadań, a obok właśnie tych szarych ludzi — Judymów i Silaczki — którzy podejmują często trud, który nie wiem, czy z punktu widzenia głęboko rozumianego interesu społecznego, oni powinni ponosić. To jest ich potrzeba wewnętrzna. Jest to bardzo piękne z punktu widzenia oceny ich osobowości, ale czy jako zjawisko społeczne jest dobre?

Powiedziiano tu, że dziś społecznie pracują tylko renciści i młodzież.

Widocznie są jakieś tego przyoczyny. Jakże? A m. in. i takie, że ta praca jest konfliktowa. Człowiek, który się decyduje na in-

terwencję i próbę społecznego załatwienia konfliktu, nie wiadomo jak na tym wyjdzie.

KAROL BADZIAK: Zgadza się z tym, że społecznicy mają u nas na ogół poważanie i uznania. Ale sądzę, że jest ono niewspółmierne do ich działania. Oczywiście szanujemy społeczników w sensie personalnym, ale postawy społeczne uchodzą u nas za niezbyt rentowne, rzekłbym deficytowe. Czy panowie nie odnoszą wrażenia, że ten szacunek często podszyty jest kpina, ironią? Wydaje mi się, że w niektórych jeszcze kręgach społecznych panuje większy kult sprytu i cwaniactwa niż kult społecznikostwa.

Druga sprawa. Wyraziłem przekonanie, że pokolenie 30-, 40- i 50-latków jest pokoleniem zmęczonym, znużonym, zajęтым swoimi sprawami. Podtrzymuję swoją opinię. Pokolenie najbardziej dynamicznie ulega, niestety, najszybciej nastrojom konsumpcyjnym. To jest naturalne, że ono się dorabia. Ale to jest pokolenie, które ma najwięcej do powiedzenia, ma najwięcej energii i myśle, że możemy do magać się, ażeby szczypte tej energii sprawom społecznym poświęcić.

Mleczarz

Piątego kwietnia każdego roku biorę wolny dzień. W moim życiu ten dzień jest świętem. Włóczę się bez celu po ulicach, wpadam do jakiejś kawiarni. A już na pewno zawsze posiedzę chwilę na ławce na skwerku przed Uniwersytetem. I dzisiaj jest piąty kwiecień. Po raz pierwszy od kilkunastu lat nie zwiniono mnie z pracy. Dwoch kolegów rochorowało się i dlatego. Chociaż muszę się przyznać, że bardzo nie nalegałem.

Sala sądowa przepelniona jest ciekawskimi. Niektórzy siedzą tutaj od rana do ostatniej rozprawy. Znajdują rozrywkę w smutku drugich. Sekretarka podaje mi akta.

— Zaczynamy sprawę numer 371. Przy pańce jest dość szczegółny. Uśmiecham się i otwieram teczkę.

Woźny pokrzykuje. Wzywa strony. Do sali wchodzi mleczarska grupa. Tutaj wszyscy wchodzi w ten sposób. Mężczyzna i kobieta stają na wyznaczonych miejscach. „Jak długo jeszcze te sprawy rozwodowe” — myślę ze znużeniem.

I nagle zacząłem żałować, że nie uszanowałem tradycji. Siedziałbym teraz na skwerku przed Uniwersytetem. Dzie się lat temu tam ją spotkałem. Dopiero co skończyłem gimnazjum. Musiałem pomyśleć o swoim utrzymaniu. Roznosiłem mleko po domach. Nie tyle ciężko mi chodzenie po piętach, co ciągnięcie wózka. Nie był tak bardzo duży, ale mściło się w nim sporo butelek i słoików z kwaśnym mlekiem. Kiedy kończyłem roznoszenie, siedział na wspomnianą ławkę. Siedziała tam i ona. Nie zwracała na mnie żadnej uwagi. Odnosiłem wrażenie, że jestem niewidzialny. Nie znałem jej, wyglądała to, że jest o kilka lat młodsza ode mnie. Wydawało mi się, że po raz pierwszy widzę tak interesującą dziewczynę. Pewnego razu przyszyła na ławkę trochę po mnie. Była w szerokiej spódnicy przypominającej krynowinę. Taka była wtedy moda. Była w dobrym humorze. Tak mi się wydawało, bo po raz pierwszy przywitała się ze mną. Popatrzyła na moją teczkę — nosiłem w niej kwity i zeszyt z adresami klientów. Znowu otworzyła jakąś książkę, ale nie zaczęła jej czytać, a zwróciła się do mnie.

— Pan jest studentem?

Wszystkie myśli wyleciały mi z głowy. Nie zastanawiając się odpowiedziałem:

— Tak.

— A co pan studiuje, jeśli to nie tajemnica?

— Prawo.

— Przyjeżdż pan bez trudu?

— Oho ho — zmyslałem dalej. Egzamin był bardzo ciężki, ale kiedy człowiek jest przygotowany, to nie straszego.

— Miał pan szczęście.

— Być może... uśmiechnąłem się. Pani też jest studentką?

— Nie, ale marzę o tym, żeby zostać aktorką. W przyszłym roku będę zdawać, teraz jestem w jedenastej klasie. Gram epizody z pewnym wielkim aktorem. Może pan go zna. Grał w filmie... Tak się poznałem. Przed jej znajomością uchodziłem ze studenta pierwszego roku. I mnie samego wciągnęło moje kłamstwo. Często opowiadałem jej ciekawostki z praktyki sądowej, o których słyszałem tu i tam. Należała do tego typu dziewczyn, które nie rzucają się w oczy, a licho wie dlaczego nie można przestać o nich myśleć.

Pewnego razu znowu siedzieliśmy na naszym skwerku. Aleja przechodziła ludźmi. Udawaliśmy, że ich nie zauważamy. Krzak bzu rozpiął kwieciste gałązki i służył nam za osłonę. Mleczeliśmy. Dziewczyna marzyła, żeby zostać aktorką, a ja — muszę się przyznać — gdzieś głęboko w sobie tałem zawisę. Nie chciałem, żeby ją przyjęli do szkoły teatralnej. Ona aktorka, a ja mleczarz. Jej nazwisko będzie na afiszach. Będą ją okłaskiwać, dawać kwiaty... Mnie będą robić wymówki, że za późno przyniosłem mleko i że nie jest tak tłuste jak kiedyś. — Chcę, żebyśmy zawsze byli razem! — powiedziała niespodziewanie. Dobrze mi jest z tobą, rozumiesz? Jesteś taki...

Zamiast odpowiedzieć przytuliłem ją. Lubiła silnych chłopców i dlatego pewnego dnia powiedziałem jej, że uprawiam boks w młodzieżowej drużynie „Lokomotyw”. Zaprosiłem ją na zawody. Zaprosiłem ją, bo przeciwnik był moim przyjacielem i wcześniej uzgodniłmy:

— Będziesz uderzał [jej]. I uważaj, że —

mian pożyczylem mu na cały tydzień swój rower wyścigowy.

Ale kiedy człowiekowi się nie wie dzie... Wszedłem na ring. Reflektory świeciły oślepiająco. Publiczność wyla, a zamiast mojego przyjaciela po schodkach wspiął się jakiś napuszony „kogut”. Coś musiało się stać. Przestraszyłem się. Nie daj Boże, żeby mnie rozłożył jeszcze w pierwszych minutach. Pokrzykuje mi wszelkie plany. Zobaczyłem ją w pierwszym rzędzie za stołem sędziowskim. Kiedy nasze spojrzenia spotkały się, podniosła zacisnięte kciuki. I ja zacisnąłem pięści. Trener mrugnął ośmielająco. Od razu po gongu obrywał rywala kilkoma bombardującymi uderzeniami. Rozwścieczony zacisnął usta, zmarszczył brwi i przypuścił kontratak. Pierwsze uderzenie, drugie, trzecie. Opuszczały mnie siły. Brakowało powietrza. Zataczałem się jak pijany. Nic nie widziałem przed sobą. Bawił się mną jak workiem treningowym. Czy wytrzymał? Jeszcze trochę. Jeszcze trochę...

Gong. Druga runda. Teraz już nie śpieszyłem się, a szukałem dogodnej pozycji. Wymieniłem kilka ostrożnych uderzeń. Sędzia uprzedził nas, żebyśmy zabrali się do walki. Łatwo mu powiedzieć. Przeczekiwalimy. Nieoczekiwanie uderzył mnie w twarz i znowu się zatoczyłem. Klęczałem na ringu. Najbardziej haniebna poza dla boksera. Tamten stał i pociągał nosem, wciągając głęboko powietrze. Czekal, żebym się tylko podniósł, aby znowu mnie zaatakować. Zwoleńczy mojej drużyny wstali z miejsc i krzyczeli z całych sił. A ja myślałem o niej, że jeszcze chwila i kiedy uderzy gong, weźmie przyniesione dla mnie kwiaty, bo to śmieszne ofiarować je słabeuszowi i wyjdzie za wstydzona. Być może ta myśl podniosła mnie na nogi, zacisnąłem zęby i przygotowałem się do decydującego uderzenia. „Poczekaj! — powiedziałem sobie — jeszcze nie skończyłem”. Zaatakowałem go tak nieoczekiwanie, że zwałił się w tej samej sekundzie. Sędzia machnął ręką jak dyrygent: siedem, osiem, dziewięć... nokaut... gong! Promieniowała. Podniosła wysoko czerwone goździki. Triumfowała. A ja chciałem powiedzieć: „Nie złość się bracie. Ja tylko przez nią... Gdyby nie to...” Być może i za niego trzymali kciuki. Na pewno i dla niego przynieśli kwiaty... Sędzia podniósł moją rękę.

Potem szliśmy po ulicach — tak, bez celu. Była bardzo wesoła i rozmowna. Ja mleczalem. Wtedy wzięła mnie pod rękę, pierwszy raz.

— Byłeś silny — pogłaskała mnie po ramieniu. A ten samochód podniósłbyś?

— Mogę. — Uśmiechnąłem się. Nawet ciębie — i wzięła ją na rękę.

Masz rację, dziadku — uśmiechnąłem

JERZY WILMAŃSKI

Zima, zima — jesień moja

Zima, zima — brudne biele
dzień się śnieży
noc grudnieje

A tu jesień przeraźliwa
niepokoję
a tu jesień gdzieś od środka

zza ścian gładkich pomrukuje
jesień moja

Zima, zima — zimy centrum
trzaska gałąź

Zaspa szara zaspa biała
Zasypało

a tu jesień gdzieś spod serca
wiatrem wieje

a tu jesień
już

się do mijającego nas staruszka, który znacząco popukał się w czoło. Kochani. Zapominają, że i oni nosili na rękach swoje dziewczyny. Zapominają, że i dla nich na tej ziemi nie istniało nic innego oprócz ich najpiękniejszych i najlepszych dziewczyn.

— Chcę żebyśmy poszli na naszą ławkę? Ot, tak postędyśmy sobie, porozmawiamy. Chwyciłem ją za rękę i pobiegliśmy. Zderzyliśmy się z ludźmi. Niektórzy się uśmiechali, inni strofowali. Ławka była zajęta. Jacyś staruszkowie rozmawiali i nie zwracali na nas uwagi.

— Przeproszę, ale ta ławka jest nasza — zazdrośnie powiedziała moja dziewczyna. Proszę spytać dozorcę. Proszę spytać kogo tylko chcecie. Każdy powie, że ławka jest nasza.

Tamci uśmiechnęli się, powiedzieli coś do siebie i wstali. Kiedy oddalili się, spytała mnie.

— Prawda, że mam rację? Każdy ma swoją ławkę.

— Jasne — potwierdziłem. Jeszcze jutro przyczepię tabliczkę „Reserve”, jak w restauracjach...

Smieiliśmy się długo, potem ona nieoczekiwanie powiedziała:

— Wyobraź sobie, że umrę.

— Co za bzdury — zdziwiłem się.

— Tak, tak. Wyobraź sobie, że któregoś pięknego dnia umrę.

— W porządku, przypuścimy, że i to może się kiedyś stać.

— Myślę, czy ty będziesz istniał bez mnie.

— Tak, naturalnie! Wszystko będzie nadal istniało i bez naszej świadomości. — A ja tak nie myślę. Jeżeli mnie nie będzie, nie będzie i tej ławki i tych bżów. I ciebie nie będzie... Ty istniejesz dla mnie, bo ja ciebie widzę, ja ciebie dotykam, czuję cie.

— Dlaczego mi to mówisz? — wyszeptalem.

— Bo chcę, żebyś zawsze był tylko ze mną. Dla mnie. (I znowu pobiegliśmy ulicami. Wyrzedzaliśmy nie istniejących ludzi, omijaliśmy nie istniejące domy... byliśmy tylko ja i ona. Kiedy doszliśmy do jej domu, zaczął padać deszcz. Grube krople zabębniły po dachach i oknach i wydawało mi się, że nie ma nic piękniejszego niż padający w nocy deszcz, który zmusza do skrycia się przed nim. I kiedy blisko przy sobie czujesz oddech ukochanej dziewczyny.

— Dobranoc, już późno — powiedziała i wyciągnęła rękę.

— Do jutra — szepnąłem.

— Będę czekała! — zbiegła po schodach.

Pojawiła się za tuiowymi firankami jak rusałka rozplatająca włosy. A ja, zwykły śmiertelnik, stałem na dole, na chodniku, zapatrzony w jej nieuchwytny obraz, który za chwilę stopił się razem z drżącym światłem. Potem ruszyłem przez deszcz, minąłem opustoszały skwer. Deszcz przegonił zakochanych. Pewnie mówiłem coś do siebie, bo jakiś zataczający się obok mnie przechodzień zapytał:

— Szczęśliwy jesteś?

— Po czym poznałeś? — zatrzymałem się.

— Bracie, nie oplaka się. Miłość jest jak deszcz — pada, pada i przechodzi.

— Twoja rzecz. Podałem mu ogień i wyprzedziłem go. Potem pomyślałem sobie — takich jak on powinno się rozstrzeliwać. Miłość nie jest deszczem ani wiatrem, a nie gaszącym pożarem.

Nazajutrz wcześniej rano ciągnąłem wózek z mlekiem i zastanawiałem się, gdzie najpierw zanieść butelki, żeby ludzie nie spóźnili się do pracy. Myślałem i o tamtym dniu, tamtym wieczorze, kiedy bez rozpalii nad nami swoje fioletowe światła. Przypomniałem sobie jej słowa: „Chcę, żebyśmy zawsze byli razem”. Ciągnąłem wózek po brukowanej uliczce, pogwizdywałem sobie i niezliczoną ilość razy odpowiadałem jej w myślach: „Tak, tak — nigdy się nie rozstaniemy — nigdy!”. I w tym momencie naprzeciwko mnie zjawiała się ona. Zauważyła mnie z daleka. Podchodziła powoli, mrużyła oczy, jakby nie mogła uwierzyć. Gdybym zauważył ją wcześniej, mógłbym jeszcze uciec do najbliższej bramy. Ale było już za późno. Zatrzymała się dwa, trzy metry przede mną. Jakże śmieszny wydawałem się jej w białym fartuchu. Popatrzyła na wózek, zmierzyla mnie od stóp do białej czapki i uśmiechnęła się wymuszenie. Zdrętwiałem. Stałem jak przychwycony na gorącym uczynku. W rękach ciążyły mi dwie butelki mleka.

— Od kiedy to prawnicy roznoszą mleko po domach?

— Mleczenie.

— A mnie przynosisz?

— Jakie mleko — kwaśne czy świeże?

— Oszust.

Odeszła. Zrobiło się cicho jak po burzy. A potem nigdy już nie przysłała na ławkę na naszym skwerku. Nigdy więcej nie spotkałem jej. Tysiące razy żałowałem, że oszukałem ją. Zaczęła we mnie dojrzywać myśl studiowania prawa i jeszcze tego roku zdałem egzamin. Być może z ambicją, tak jak wtedy, na ringu. Nie zauważyłem kiedy minęły uniwersyteckie lata. Dano mi pracę w sądzie. Czasami w towarzystwie, kiedy pytało, dlaczego studiowałem właśnie prawo, opowiadałem wesoło jako żart, całą historię od początku do końca. Niektórzy się śmiali, inni dziwili, jeszcze inni nie wierzyli... Pewnego razu ktoś powiedział, że moja dziewczyna z mleczarskiego okresu kilka razy zdawała do szkoły teatralnej. Nie przyjęła jej i wyjechała na prowincję, aby tam zaspokoić swoją aktor ską pasję. „W porządku — pomyślałem — skoro ma talent niech gra!”

...W sali sądowej było cicho. Podniosłem głowę. Przede mną stała ona. Ta sama, co przed kilkunastu laty. Jej mała głowa tak, jak kiedyś, była przewokująco uniesiona. Wysunięta do przodu broda podkreślała poczucie wyższości, a jednocześnie nie zaspokojone ambicje. Drgnęliśmy. Czy zmieszają się? Czy przypomni sobie tamten daleki wie czór pod gałęziami bzu?

Brzęczał zmęczony głos adwokata. Później zeznawali świadkowie. Słuchałem nie rozumiejąc. Nieświadomie przechyliłem się do przodu. Wpatrywałem się w jej oczy, dalekie i bliskie. Oto przymruża je, podnosi powieki i czytam w tych chłodnych okienkach: „Od kiedy to mleczarze wydają wyroki!?”

Ostrząsnąłem się jak przebudzony ze zlego snu. Już nie żałowałem, że wiozyłem swój nowy garnitur. Cieszyłem się, że ludzkie drogi nie zawsze się schodzą. Adwokat zamilkł. Wyprostowałem się i spokojnym głosem powiedziałem:

— Sąd udaje się na naradę.

Przekład z bułgarskiego

ANNA IWANOWSKA



ANDRZEJ GRUN „Zimowy kalejdoskop”

Jak wiele jest światów



K. Szednicki

LEDA akwaforta-tinta 1968

Odwiedzając wystawę prac Konrada Szednickiego profesora grafiki na krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych — wystawę bardzo kameralną i w jakimś sensie intymną — odnosi się wrażenie, że jest się dopuszczonym do uczestniczenia w czymś prywatnym życiu, włączonym niespodziewanie w jego rytm i w jego sprawy. Podobne wrażenie wywołują niekiedy z lektury pamiętników pisanych nie z myślą o publikacji a na użytek własny przez ludzi, na życie których składały się wydarzenia dziwne, niecodzienne, zaskakujące swoją wieloznacznością. Grafika Konrada Szednickiego jest czymś w rodzaju takiego właśnie pamiętnika. Jest czymś bardzo osobistym, a robiona jest tak jakby nigdy nie miała opuścić ścian pracowni, w której powstała. Grafice tej przeszkadza nawet dzienne światło — ogląda się ją najlepiej wieczorem, kiedy na ulice miasta padają zmierzch, a witraż Salonu jest tylko ciemną taflą szkła, za którą migają barwne, nierzeczywiste błyski neonów i samochodowych świateł, nierealne, nie dorysowane do końca łódzkie twarze. O takiej porze prace Szednickiego mówią głosem najczystszy. Jest bowiem sztuka Szednickiego poezją czy stą, liryczną wyrażoną formułami plastycznymi. Na polu sena, na polu rzeczywistości, nieśpieszna w swej opowieści, obecna w codzienności, z konfliktów i zdarzeń dnia powszedniego, jest sama dla siebie. W równym stopniu obojętna na konflikty i wielkie pytania co na artystyczne prądy, nowości i mody. Snuje swoją gawędę o tym, co zdarzyło się kiedyś na prawdę albo nie zdarzyło się wcale, ale zdarzyć się przecież mogło. Na tym polega chyba jej niecodzienny urok, jej specyficzny, wciągający rytm.

Ignacy Witkacy wstąpił do katalogu wystawy usiłując sygnować grafikę K. Szednickiego stemplem surrealizmu. Takie zabiegi wydają się w tym wypadku zbędne. Sztuka Szednickiego nie wymaga żadnej klasyfikacji formalnej, żadnej etykiety. Opiera się całą swoją

istotą zaszerzgowaniu do jakiejś kategorii. Jej formalne nowatorstwo jest żadne. Wartości jej zasadzają się na ładunku emocjonalnym, na szczerości i niefrasobliwości sformułowań, na swobodnym i niezobowiązującym błędzeniu po ścieżkach i alejach starego parku, który dla autora posiada urok i sprzyjający klimat. Jest wytworem fantazji, grą czyściej wyobraźni mimo że posługuje się rekwizytami z pozoru realnymi. Z pozoru, bo przestają być realne z chwilą przekroczenia granicy planzmy graficznej. Na niej stają się przedmiotami z teatralnej rekwizytorni, tracąc swój ciężar i własną osobowość, podlegają oddad innym grawitacjom i prawdom.

Szednicki nie szuka w swoich grafikach „nowej formy wyrazu”. Jest figuratywny i to mu wystarcza. W tym czy innym fragmencie odwołuje się do abstrakcji „na chwilę”, żeby coś dodać, urozmaicić płaszczyznę obrazu — tok własnej gawędy. Jest tradycyjny nawet w swoich skojarzeniach, a jednak przecież inny. Może dlatego, że właśnie tak bardzo swobodny. Po płytę metalową i rytec sięgnął, żeby „pół żartem a pół serio” opowiedzieć to i owo. Żadne wielkie rzeczy — takie sobie drobiazgi spietrzonne, nagromadzone skrzętnie, nakładające się na siebie, przenikające siebie nawzajem. Zaskakuje nas ich niespodziewane sąsiedztwo, przedziwne mariaże zdarzeń i przedmiotów, z których rodzą się jeszcze dziwniejsze konflikty i dramaty. Ale te konflikty i dramaty są łagodne. U Szednickiego nawet najczarniejszy diabeł jest tylko trochę szary. W jego teatrze wszystko jest „na niby” tak jak wszystko jest możliwe.

Oto konie św. Marka błądzą zdziwione po placach Wenecji jakby w zapomnianej przeszłości. Oto Leda niczym narzeczona Chagalla płylnie przez przestrzenie astralne. Wbrew wszelkim prawom grawitacji, za to zgodnie z wszystkimi prawami poezji, razem ze swoim białym kochankiem. Oto Lunatycki — dziewczyna, koń i byk zrybują nad dachami nierealnego miasta.

Oto wreszcie Rycerz — zbroja pusta i koń podobny trochę do Jednorożca a trochę do zegarka. Aktorzy i rekwizyty odgrywiają zdarzenia, które miały swój początek w rzeczywistości a ponieważ nie czuły się tam najlepiej — przeniosły się w krainę snu, skąd krok tylko do świata poezji i baśni. Świata oczyszczonego dokładnie z brutalności, z tragedii, z pesymizmu, z „wielkich konfliktów”, które są garniturem od świata i na co dzień wielu. A ta odrobina szlachetnego smutku, a czasem ironii — no cóż, bez tego nie ma zabawy w teatrze, nie ma smów narysowanych, nie ma podróży swobodnych w przestrzeni i w czasie. Opisywanie grafiki Szednickiego nie da o niej prawdziwego wyobrażenia. W opisie nie sposób przekazać klimatu, atmosfery — nie sposób streścić wierszy. Właśnie klimat — właśnie atmosfera są największą wartością i argumentem sztuki Szednickiego. Należy się im tylko poddać, a są wtedy jak kolysanka, której refren wraca uparcie i nagle uświadamiając sobie, że jest nam przecież znany, że słyszeliśmy już gdzieś jego słowa, melodię. Może w dzieciństwie własnym, może w cudzym. K. Szednicki posługuje się doskonałym warsztatem. Nieskończona wielość waleń od głębokiej czerni po najróżniejsze, subtelne szarości potęgą atmosferę wywołaną treściami literackimi.

K. Szednicki ma w tej chwili 75 lat. Ostatnie grafiki jego, sygnowane datami 1968-69 nie zdradzają inercji twórczej. Przeważnie — to najlepsze prace w ekspozycji. Najciekawsze i najbardziej świeże. Ten artysta ma odwagę tworzyć świat własny, nie bacząc na to, że jest to świat dla którego trudno znaleźć miejsce na mapie współczesnej. Świat, z którym wielu nie wie co zrobić, świat wstydlawy. Niewygodny świat. Bo nie okropny, nie tragiczny, nie krwawy. Dla mnie dlatego piękny i ważny. Na mojej mapie świata małe kółko kłak Szednickiego znajduje dla siebie miejsce.

W NUMERZE 45 (625) „ODGŁOSÓW” z 9. XI. 1969 R. OPUBLIKOWALIŚMY DWUGŁOS NA TEMAT SYTUACJI WIEJSKICH KIN. OBECNIE WRACAMY DO TEJ PROBLEMATYKI, POSTULUJĄC PEWNE POSUNIĘCIA ORGANIZACYJNE.

BARBARA KLIOMBKA

Kina bez widzów

Publicyści wielokrotnie opisali już seans w wiejskim kinie. Ale opis, choćby najjaskrawszy, w małym stopniu oddaje stan rzeczywisty. Przekonałam się o tym, gdy podczas urlopu ryzykowałam obejrzenie filmu w kinie objazdowym. I przestałam się dziwić, że hasło: „Kino przyjeżdża” nie wywołało sensacji wśród mieszkańców wioski. Widocznie dobrze pamiętali, na co mogą liczyć. I przestałam się również dziwić, że kina wiejskie są tak bardzo deficytowe.

Ta gałąź polityki kulturalnej pochłania ogromne dotacje, jakie otrzymują Wojewódzkie Zarządy Kin od swoich Rad Narodowych oraz dochody z kin miejskich. Tylko do kin stałych i półstałych państwo dopłaca ponad 35 mln zł rocznie. Ale jak może być inaczej, kiedy wszystko kosztuje tak wiele, a widz wiejski odwiedza kino niecałe dwa razy w roku. I tu tkwi problem. Dla porównania mieszkaniec wsi w ZSRR odwiedza kino 10 razy częściej.

Dlaczego tak się dzieje? Próbuje się to tłumaczyć tym, że w widzu wiejskim nie wyrobił się nawyk chodzenia do kina. Ale może być to prawdziwe tylko w części i tylko w odniesieniu do kin stałych. Zresztą, gdyby kino niosło ze sobą interesującą rozrywkę, na pewno przyciągnęłoby mieszkańców wioski bez względu na to, czy nawyk chodzenia do kina jest wyrobiony, czy nie. Ale jest inaczej i dane mówią o małym liczby widzów. W woj. łódzkim przeciętna na seansie w roku 1967 wynosiła 60,2 osoby, w

1968 — 61,5, a w roku bieżącym tylko 42,8 osoby.

Natomiast rosną inne liczby — seansów, które nie odbyły się z powodu braku widzów. W ciągu ostatnich 9 miesięcy w woj. łódzkim nie odbyło się z tego powodu 581 seansów. Drugie tyle seansów nie odbyło się z powodu braku sali, najczęściej przeznaczanej w tym czasie na zabawy, lub z braku prądu.

Dlaczego się tak dzieje, skąd ta niechęć do kina? A może wieś w ogóle nie garnie się do rozrywki kulturalnej? Tak przecież nie jest. Można to zaobserwować na przykładzie Kluk w woj. łódzkim. Powstał tu nie dawno, przy współudziale mieszkańców wsi, Dom Kultury z prawdziwego zdarzenia. Otrzymał pełne wyposażenie. Jest w nim również sala kinowa, która świeci pustką. Wpływy za bilety kinowe w ciągu 8 miesięcy wyniosły 700 zł. Natomiast w sali telewizyjnej, piętro wyżej, jest ciągle pełno. I jest to zrozumiałe. Na dobre odbierającym ekranie nowego telewizora można obejrzeć ciekawy program, nowy, interesujący film. A na dole pokazują stary, taki, który może nawet był już pokazywany w telewizji. A i sama projekcja potrafi przedstawiać się następująco: na ogólną liczbę 128 kin wiejskich, w kinach stałych, na 61 zaistniałych projektorów tylko 2 mogą wyświetlać kopie 35 mm, na 43 kina półstałe tylko 3, z 24 kin ruchomych 6 ma aparaty 35 mm. W sumie tylko 11 kin może zaproponować widzowi projek-

aparaty 16 mm. Ale to prowizorium długo potrafiło przetrwać. Gorzej, że tę aparaturę instaluje się również obecnie. A w Domu Kultury w Klukach nie można zainstalować już aparaty 35 mm, bo przepisy nie pozwalają. Inwestor nie przewidział takiej dokumentacji, zresztą nie uzgodnił tej sprawy nawet z WZK. Polska jest jednym krajem, w którym kina komercyjne pracują na kopiach 16 mm i traci przez to przede wszystkim widzów kinowe, który nie będzie chodził do takiego kina, szczególnie teraz, kiedy ma telewizję. Widz wiejski ma prawo żądać dobrego filmu zarówno pod względem tematycznym, jak i technicznym. Taki może być tylko film na taśmie 35 mm. A liczba projektorów 35 mm na wsi jest zastraszająco mała. Na przeszło 2 tysiące kin tylko 167 może wyświetlać filmy 35 mm. Dla przykładu: w woj. łódzkim sytuacja przedstawia się następująco: na ogólną liczbę 128 kin wiejskich, w kinach stałych, na 61 zaistniałych projektorów tylko 2 mogą wyświetlać kopie 35 mm, na 43 kina półstałe tylko 3, z 24 kin ruchomych 6 ma aparaty 35 mm. W sumie tylko 11 kin może zaproponować widzowi projek-

cję zblizoną do miejskiej. Tak jest mniej więcej wszędzie.

Obracamy się od kilku lat w błędny kole — z jednej strony zła projekcja, jednonostronny repertuar, prymitywne wnętrza, z drugiej — dopłacanie ze strony państwa niebagatelnych sum do każdego biletu widza wiejskiego. Potrzebne są więc inwestycje. Przekonał się o tym działacz kulturalni woj. zielonogórskiego. Już w roku 1966 dysponowali 17 kinami panoramicznymi na ogólną liczbę 78 kin wiejskich. Dokonywane zmiany nie ograniczają się tylko do zdobycia nasadek anamorficznych, obrazu i kształcie panoramicznym, i nowe go ekranu; pociągnęły za sobą kompleksową modernizację kin oraz rozszerzenie repertuaru. Frekwencja, przynajmniej na początku, wzrosła co najmniej dwukrotnie. Poradziło sobie Zielonogórskie również z kinami ruchomymi. Z dwóch starych autobusów zrobiono kinobusy, wyposażone oczywiście w aparaty 35 mm panoramiczną. Docierają one do najdalszych zakątków, oferując dobrą projekcję na raz 32 osobom. Przy okazji okazało się, że 500 wsi nie dysponowało salą, w której mogłaby się odbyć projekcja. Miesięczny deficyt kino-

busu wyniósł tylko 158 zł.

Zalecenia Ministerstwa Kultury idą również w kierunku modernizacji. Zgodnie z nimi Łódzkie Zakłady Kinotechniczne opracowały projekt nowego aparatu 35 mm, jest to typ AP-70. Zastąpi on wycofany z produkcji AP-7. W tym roku zostanie wyprodukowane 650 prototypowych AP-70. Jest to aparat o dobrej optyce, silnym świetle łukowym, nowoczesnej budowie. Jedyną jego wadą jest to, że jest ciężki i nadaje się tylko do kin stałych. A szkoda, bo przenośnej aparatury 35 mm zakłady nie produkują i nie mają takich planów. Mogłoby to ulec zmianie, gdyby były wyraźne zalecenia w sprawie podjęcia takiej produkcji. Ale czy to możliwe? Napisałam — Zakłady Kinotechniczne, ale to już przeszłość. Ten jedyny w kraju zakład produkujący aparaty kinową przekształcił się ostatnio w Zakłady Kserotechniczne i myśli się specjalizować i rozwijać w tym kierunku. Produkcja kserografów przynosi dewizy.

A skąd weźmiemy aparaty przenośne 35 mm. Projektowany jest zakup w ZSRR, ale tu wchodzi w grę dewiza i sprawa się opóźnia. Widać stąd, że wiejskie kina będą musiały dalej pracować na aparaturze 16 mm. Ale trzeba dać im więcej kopii, tzn. rozszerzyć re-

pertuar i zwiększyć ilość kopii. I to musi wziąć pod uwagę Rada Repertuarowa Centrali Wynajmu Filmów. Bo jej kryteria podejmowania decyzji co do tego, który film ma być redukowany, nie zawsze są zrozumiałe. Wchodzi tu w grę również sprawa rozszerzenia repertuaru dla kin 16 mm, który sięga obecnie 50 proc. tytułów rozpowszechnianych na taśmie 35 mm. Warto także produkować więcej kopii jednego tytułu, bo mimo, że teoretycznie kopia powinna być dobra przy 150 projekcji, to praktycznie dużej wczesniej jest zła na skutek nieodpowiednich warunków magazynowania i nieprawidłowej eksploatacji. A najczęściej wyświetlana jest dużo więcej razy.

Nie jest prawdą, że wyprodukowanie kopii kosztuje bardzo drogo. Tak np. jeden metr bieżący kopii 16 mm, czarno-białej kosztuje 2,30 zł (dla porównania 1 m kopii 35 mm — 3,60, barwnej — 7,50 zł) Łódzkie Zakłady Wytwórcze Kopii Filmowych, gdy zajdzie tego potrzeba mogą zwiększyć produkcję. Dopiero wtedy, gdy powstaną na wsi prawdziwe kina (co najmniej takie, jak kina miejskie trzeciej kategorii), będzie można mówić o kulturze filmowej w tym środowisku. Bo film, jak żadna ze sztuk uzależniony jest od techniki.

W następnym numerze „Odgłosów” ogłosimy rozwiązanie oraz listę osób nagrodzonych w krzyżówce i konkursie „Jakie to książki?” — zamieszczonych w świątecznym numerze „Odgłosów”.

Wyniki plebiscytu „Łodźianie 69” ogłosimy do końca lutego br.

Aktywność grupy ATE



Nigdy nie przypuszczałam, że w jednym opowiadaniu o „życiu środowiskowym” ze sfer plastycznych (H. Anders i R. Hunger — „Łódzkie środowisko plastyczne” — „Od głosu” z dnia 4.I. 1970 r.) można za wręcz takie bogactwo wyobraźni i taką różnorodność wątków.

Poczynając od reportażowego wstępu, drobnej tabeli, (wielki statystyka!) zacząć tak misternie dozować emocje, od lekko sugerujących jakieś perfidne, a z premedytacją przeprowadzane poczynania malarskie „pewnej gromadki osobników” w celu uzyskania „na pewniaka” wyróżnienia w konkursach, dojść do szczytu w pełnym grozy opisie satanicznych grup towarzyskich, a nie formalnych jednoczących się w celu wywalczenia sobie respektu, zarówno w środowisku jak i na rynku ogólnopolskim oraz zabiegających o „rząd dusz”, by umocnić swoją pozycję i urabiać opinię, a prze-

de wszystkim działaczy dysponujących środkami

A dla zmiany nastroju, jako przez rywniki, drobne informacje o instytucjonalizacji życia artystycznego; no i ażeby było wesoło Autorzy piszą sobie: „Jak na miasto włóknierskie przystało istnieje PO DOBNO nadal grupa artystów tka czy „ATE”, ale od DAWNA nie wykazuje aktywności”.

Piszą — a ja w grupie „PODOBNO ISTNIEJĄCEJ ALE DAWNO NIE WYKAZUJĄCEJ AKTYWNOŚCI” — (bo ostatecznie teraz już sama nie wiem, czy za aktywność można uważać cztery wystawy go belinów grupy ATE, otwarte w roku 1969 i tych kilkanaście wystaw zagranicznych, w których brałbym udział) — zaczynam zdawać sobie sprawę jak szczerze obdarzeni poczuciem specyficznego dowcipu i fantazją Autorzy z przymrużeniem oka dają do zrozumienia wtajemniczonym czytelnikom, że nie jest im obecne nic co najnowsze w... czarnej literaturze.

Zeby nie było wątpliwości, że prawdziwa sytuacja nie jest tak ponura, jak ją przedstawia potęga wyobraźni Autora artykułu, pozwalam sobie załączyć szczegółowy spis wystaw „NIE WYKAZUJĄCEJ AKTYWNOŚCI GRUPY ATE” w ostatnim okresie:

1. Wystawa „25 lat Artystów Tka czy w Polsce Ludowej” Muzeum Historii Włókiennictwa w Łodzi — kwiecień, maj, czerwiec 1969 r.

Wydzielona Gr. ATE. Recenzja w „Osnowie Lato 1969” str. 210, prasa codz. Radio i Telewizja.

2. Świnoujście „Oficerski Klub Garnizonowy Marynarki Wojennej”, „Gobeliny GRUPY ATE — Łódź”, lipiec, sierpień, rec. w prasie szczebińskiej, radiowa w programie ogólnopolskim.

3. Sopot „Festiwal Sztuk Plastycznych”, „Gobeliny grupy ATE — Łódź”, B.W.A. w Sopocie wrzesień-październik, recenzja w prasie

lokalnej oraz aud. telewizyjna w programie ogólnopolskim.

4. Poznań B.W.A. Arsenal — „Polska tkanina awangardowa”, wydzielona „Grupa ATE — Łódź”, otwarcie odbyło się 17.12. wystawa trwa obecnie.

Udział członków grupy ATE w 14 organizowanych przez łódzkie Muzeum Historii Włókiennictwa wystawach zagranicznych.

W roku 1968: Belgia — 4 wystawy w różnych miastach. W Brukseli nagroda krytyki za najlepszą wystawę roku, Meksyk — wystawy w ramach Olimpijskiego Festiwalu Kulturalnego — 4 tkaniny grupy ATE zakupione przez muzea zagraniczne (na 11 z całej Polski), Leningrad, Tallin — recenzje z prasy zagranicznej do wglądu w Muzeum Historii Włókiennictwa.

W roku 1969: Meksyk, Wilno, Ryga, Wiedeń, Salzburg, Florencja, Tunis — recenzje z prasy zagranicznej w Muzeum Historii Włókiennictwa.

Dwugłos polemiczny o plastyce

Henryk Anders i Ryszard Hunger w artykule pt. „Łódzkie środowisko plastyczne” (Odgłosy nr 1, rok 1970) „demaskują” wątpliwość i pozorność jego inicjatyw w zakresie rozwoju życia artystycznego — dotąd i na przyszłość. A jak jest naprawdę?

Postaram się dostarczyć czytelnikowi dokumentacji życia artystycznego, wyłuskując z worka odbytych imprez plastycznych sukcesy łódzian, historycznie znaczące ślady we współczesnej polskiej plastyce — poczynając od ich tropienia na różnych plenerach w Koszalinie (Kunka), Elblągu (Starczewski), Działoszynie (inicjatywa środowiska), sympozjach „Złotego Grona” w Zielonej Górze (Głowacki i Grupa), w Puławach (Pierzgalski), Katowicach, wystawach ogólnopolskich, Porównaniach (Jaśkiewicz i Strumiłło), Spotkaniach Krakowskich (Różga), wystawach „ministerialnych” (Mackiewicz), biennialach ogólnopolskich (Krawczyk w San Paulo), grafiki (Fijałkowski i Labędzki w Krakowie), wystawach jubileuszowych i tematycznych (Liberski i Garboliński), ogólnopolskich wystaw tkaniny (Tworek — Pierzgałska) i ceramiki (Starczewski), ogólnopolskich wystaw młodych grafików (Płociennik), wystawach ekslibrysu (Różga i Płociennik), ogólnopolskich konkursach na plakat i światowych na ilustrację książkową (Wiktorowski), ogólnopolskich i zagranicznych projektowanych ekspozycji architektury wnętrz (Frątczak) i tak dalej.

W czasie dwudziestopięcioletniego kumulował się cały artystyczny do-

robek awangardowych i współczesnych łódzkich twórców — od Strzemińskiego, Hillera i Kobro; dalej: Wegner, Modzelewski, Tyszkiewicz, Głowacki, Fijałkowski, Kunka, Krygier, Byrski, Jaeschke, Kromer, Różga, Kowalewicz, Zieliński, Wolański, Tomaszewicz, Śliwiński, Szadkowski... ich uczniów — następców jeszcze bardziej dynamicznych (Grupa „Konkret”) — aż do indywidualnie pracujących jak: Mackiewicz, Wasilewski, Krawczyk, Liberski, Kondek, Szajdzińska, Skrobiński, Garboliński, Lubniewicz, Sikorski, Horbaczewski, Ukleja, Korbik, Hyży, Zarembka, Roman, Joskowicz, Siedlanowski, Mróz, Sprusiak, Wasiołek, Łukasik, Olszewski, Derkowski, R. K. Grzybowski, Turski, Bojkow, Grygiel, Maliszewski, Bartczak, Czapski, Gałkiewicz, Cichy, Świątkowski, Cuchra-Cukrowski, Wątroński, Wandachowicz, Merga, Ciesielski, Baraniecki, Skony i wielu, wielu innych i młodych: Tyc i Karpiński i Grupa „ATE”; oni mają za sobą trwałe artystyczne realizacje — nie wypada nie docenić tej ważności.

Więc budzi wątpliwość rodzaj dokonanego bilansu autorów ex adverso, ich pióra informacja o „łódzkim środowisku plastycznym”. Przecież, jeżeli zaczniemy rzecz analizować dogłębnie — to łódzcy artyści plastycy (indywidualnie) — wobec warunków, w jakich przyszło im pracować (problem gmachu, pracowni PWSSP, brak przestronnej galerii sztuki i etatów dla oświatowców BWA, brak historyków sztuki, publicystyki i koordynacji akcji upowszechniania plastyki) osiągnęli wiele, rozslawiając gród robotników, włókienników w

Polsce i na świecie. Twierdząc, że ranga łódzkich artystów plastyków jest wysoka — propaganda ich pracy twórczej, efektów artystycznych — jest minimalna, wręcz zła, to kłeska (!). Ale to sprawa nie środowiska plastycznego, nie artystów — to sprawa tych wszystkich trudniących się profesjonalnie, administracyjnie upowszechnianiem sztuk plastycznych; dlatego parabola sięgająca do takiego pojęcia schyłkowości w mieście życia artystycznego, „bo charakteryzuje (je) zniacająca instytucjonalizacja” będzie miała wątpliwy efekt publicystyczny. Takiego zjawiska nie widzę w Łodzi. Jest działalność amatorska, bowiem sztuki plastyczne upowszechnia Zarząd Okręgu Związku Polskich Artystów Plastyków społecznie, właśnie sami artyści — i robią to źle (zresztą nie wypada im też za bardzo się reklamować, będzie to podejrzane dla odbiorcy i dla władz). Więc bzdura jest ta cała „instytucjonalizacja” — ułoczniają to chyba wystarczająco wystawy Biura Wystaw Artystycznych i Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych, które otwiera się co dwa tygodnie w różnych punktach miasta bez ryzyka „krachu inwestycyjnego”. Jeszcze popatrzmy jak organizuje się aparat propagandy artyści plastyka i jego pracy w instytucjach: w Muzeum Sztuki i w Muzeum Włókiennictwa — oczywiście zapytajmy dyrektorów: za ile? Te działalności wykonuje się tam z wielką siłą i dobrze.

„Osobników specjalizujących się w polowaniu na wyróżnienia” nie można a priori oskarżać. Jury najbardziej konsekwentne, bądź obiektywne, z rozdziałem wyróżnień za-

wsze ma kłopoty. Błąd logiczny (czy podświadomy?), a może przejaw strachu publicystów, Andersa i Hungera, polega na tym, że chcąc rzeczywiście pokazać anemiozność premiowanych prac w różnych konkursach plastycznych, wpięrowi powinni się zdemaskować, potem atakować komplety jurorów (że się nie znają na sztuce), wreszcie skarcić wszystkich winnych za niewłaściwy dobór personalny danego kompletu.

Bardziej przeraża mnie ucieczka piszących o plastyce krytyków, historyków sztuki — do muzeów, do szkolnictwa artystycznego, do nauki, do pisania książek. Cóż, cotygodniowe smażenie felietonów, recenzji, krytyki artystycznej, wreszcie prowadzenie „czwartkowych dyskusji o sztuce” — w końcu zawsze może skończyć się... linczem.

Widmo zalewu „użytkowców” nie wydaje mi się straszne i nie może być „słabą pociechą”, przeciwnie, może być chluba, ich praca — hymnem na cześć łódzkiego środowiska plastycznego, a jeżeli kiedyś rzeczywiście wywalczą rangę „miasta plastyki” dla Łodzi w kraju i na świecie (o którą tak zabiegają Anders i Hunger), nie przypadkiem, ale konsekwencją tego triumfu będzie integracja sztuki (projektowanie przemysłowe, architektura wnętrz, malarstwo, grafika, rzeźba); wszelka specjalizacja, rozwój technologii — to dodatkowe bodźce i pełna nadbudowa twórcy, jego kreacji plastycznej.

Jeżeli przy byle okazji będziemy wytykać sobie personaliá, „ty z sekcji takiej, idź do diabła!” nie zamierzamy ruchu artystycznego dziś, jutro i pojutrze.

ANTONI SZRAM

Łódzkie środowisko plastyczne

A zaczęło się tak: dziennikarz i publicysta Edmund Kokorzycki rozpoczął w roku 1919 wydawanie pisma „Wolna Myśl”. „Dwutygodnik polityczny, społeczny i literacki. Najtańsze pismo poświęcone unarodowieniu przemysłu, handlu i finansów, samorządowi miejskiemu i kooperacji, rozwojowi spółdzielczości, piśmiennictwu, teplotu wyzysku, piętnowaniu nadużyć i korrupcji”.

W przeciwieństwie do swego tytułu pismo było niewielkie i bardzo skromnie wydawane. Dziś, z perspektywy półwiecza trzeba by zapewne specjalnych badań, aby stwierdzić jaka była właściwie jego linia. Jedno jest pewne, że nie odznaczało się ono zbyt świetną publicystyką. Zarówno chwytliwy polemizm jak i poglądy reprezentowane przez redaktora, który zapelniał większość swistka, nie były najwyższej próby, choć mogły obudzić krzywą sympatii, bowiem pismo nie było zbyt mądre, ale nie było też ichorliwie, atakowało na prawo i lewo, tak że w końcu odnosiło się wrażenie, że redaktorowi o coś tam w rzeczy-

wistości chodziło. Nie mogło jednak wytrzymać konkurencji, w latach dwudziestych bowiem odwaga była bardzo tania.

Coraz bardziej więc rozbudowuje się dział humorystyczny: „Wolne Zarty”, z czasem coraz mniej troski społecznej, coraz więcej zabawy i swobodnej frywolności. Uczniacy i starsi panowie chętnie, choć po kryjomu czytają gazetekę, której pełny tytuł brzmi od roku 1921 „Wolna Myśl — Wolne Zarty”, tym bardziej, że krakowski „Bocian” — dawna oaza frywolności i pikanterii, gonili wyrażnie w piętkę. Łódzki interes idzie dobrze, coraz mniej w piśmie jakiegokolwiek polityki, coraz weselej i kolorowej. W roku 1923 czasopismo przenosi się do własnej drukarni. A w roku 1924 powstaje bratni organ o nie budzącym wątpliwości tytułu „Nowy Dekameron”. Około roku 1927 przedsiębiorstwo przechodzi poważny kryzys, umiera założyciel i redaktor, Edmund Kokorzycki. Zostaje na placu boju niestara zapewne wdowa obarczona dziećmi i wyposażona w piśmo oraz drukarnię, Pani Helena okazała się osobą co się

JANUSZ DUNIN

O „WOLNYCH ZARTACH” PANI HELENY

(Przyczynek do historii prasy łódzkiej)

„WOLNA MYŚL — WOLNE ZARTY” WARTO SA WSPOMNIEŃ CHOCBY DLATEGO, ŻE BYŁ TO JEDEN Z NAJDLUŻEJ TRWAŁYCH TYGODNIKÓW ŁÓDZKICH. ANI PRZEDTEM ANI POTEM ZADNE, NIE BĘDĄCE DZIENNIKIEM CZASOPISMO, NIE ZDOŁAŁO OSIĄGNĄĆ NA NIEWDZIĘCZNYM ŁÓDZKIM TERENIE AŻ 22 ROCZNIKÓW.

zowie dzielną. „Wolna Myśl — Wolne Zarty” wychodził mniej więcej regularnie, z rzadka tyłko gorliwysz cenzor ingeruje, usuwając zbyt ryzykowne materiały. Całe przedsiębiorstwo spoczywa w krzepkich rękach mamy Kokorzyckiej. Jeśli nawet przyjąć, że złośliwością było twierdzenie Czesława Lechickiego — publicysty obozu kato-

lickiego, który w swym dziele „W walce z demoralizacją” oburzał się, że pismo o ponad 20-tysięcznym nakładzie redaguje była praczka, to z pewnością naszą bohaterka nie posiadała nie tylko kwalifikacji redakcyjnych, ale również żadnego mniej lub bardziej świetnego wykształcenia. Miała za to sporo życiowego wyrobienia

i jak każda kobieta nieco wiadomości o tym, co lubi brzydka połowa rodzaju ludzkiego. Kobięca intuicja każe jej tym razem zupełnie wyczołfać się z satyry i polityczno - społecznych polemik.

W cieniu „Wolnej Myśli” rodzą się coraz nowe inicjatywy. W latach 1927-1939 ukazują się drukiem Heleny Kokorzyckiej następujące czasopisma humorystyczne: „Wesoły Bocian”, „Hi-hi-hi”, „Zarty”, „Smieszne życie w trójkacie”. W latach 1934-1936 publikowała dodatkowo magazyn tygodniowy „Adam i Ewa” poświęcony seksuologii stosowanej i teoretycznej na poziomie czytającego pod ławką uczniaka. Poza tym wydawnictwo i drukarnia przy ul. Podleśnej 20 podejmowało szereg sporadycznych inicjatyw. Pojawiały się efemerydy, kalendarze, zbiorki anegdot i piosenek.

Pomysłowość firmy w wydobywaniu od czytelników złotych i groszy była wprost niewyczerpana. Pojawiały się ogłoszenia w rodzaju: „ZUPEŁNIE DARMO otrzymasz zbiór 52-stronicowej pikanterii... Załącz 50 groszy w znaczkach pocztowych na koszt manipulacyjnej”. Naturalnie owe koszty były w istocie niewielkie, a zachwalany zbiór stanowił zsywkę nie sprzedanych numerów pism lub wycinków z nich opatrzonych jedynie nową okładką. Pisma reklamują liczne podejrzane przedsiębiorstwa specjalizujące się w dyskretnym wysyłce zdjęć fotograficznych, broszur, środków antykonceptyjnych itp. Pomimo, że przedsiębiorstwo szło na spór skalę, pani Helena nie lekceważyła żadnego grosza. Czasopisma wędrowały do budek spięte zsywkami, aby uniknąć zwrotu przeczytanych numerów, kilkakrotnie z różnymi podpisami wykorzystywa no te same klisze. Redakcje chętnie drukowały materiały nadesłane przez czytelników, pod warunkiem, że ci nie domagali się honorariów. Tak więc wnikliwa lektura pisma z ulicy Podleśnej potrafi odkryć tu sztabackie próby późniejszych pisarzy (ale powstrzymajmy się od niewczesnego przypominania komukolwiek grzechów młodości). Zabieg ten musiał dawać prządane rezultaty, skoro firma, startująca skromnym piśmieniem, po kilku

Szekspir W westernie

„...człowiek z Zachodu wkrocza w dziedzinę poważnej sztuki tylko wtedy, kiedy okazuje się że jego kodeks moralny, choć nadal urzekający — jest przecież niedoskonały. Bohater najlepszych westernów odznacza się moralną dwuznacznością, która wypływa z faktu, że bez względu na uzasadnienie nie przestaje być ZA BÓJCĄ ludzi.” (ROBERT WARSHOW: THE WESTERNER.)

Zdumiewa ilość interpretacji, punktów widzenia, z których spojrzeć można na film „Zawodowcy”. Przede wszystkim intryguje osoba scenarzysty i reżysera, Richarda Brooksa. Właśnie robiąc między innymi westerny Brooks zdobył sobie mocną pozycję w Hollywoodzie, jego umowy z producentami nie mają precedensu pod względem pozostawionej mu swobody twórczej. Wykorzystywał jednak tę swobodę, aby dać ujście swoim zainteresowaniom literackim. Przenosił na ekran powieści Dostojewskiego („Bracia Karamazow”) i Conrada („Lord Jim”), a najchętniej, jak się zdaje, sztuki sceniczne Tennessee Williamsa („Kotka na gorącym blaszanym dachu”, „Słodki ptak młodości”). Skąd zatem u Brooksa, znajdującego się u szczytu sławy, Brooksa — „literata”, powrót do westernu, gatunku, który dla wielu nie ma nic lub prawie nic wspólnego z czymś, co zwykliśmy zaliczać do kategorii utworów artystycznych? W gruncie rzeczy miłośnicy i wyznawcy westernu z dawną wiedzieli, że western wbrew pozorom nie jest zbyt daleki nawet od Szekspira. Było to dla nich tak samo oczywiste, jak powinowactwo między westernem a literaturą antyczną i klasyczną, z opowieściami o Cydzie na czele... Dlatego miłośnikowi westernu ciekawszy niż sam fakt powrotu Brooksa do gatunku wydaje się powód, który go do tego skłonił. Nie chce zadowolić się wyjaśnieniem, które oferują złośliwcy — nawiasem mówiąc, należący do grona amerykańskiej awangardy filmowej — że Brooks „kompromituje hanieb-

nie” każdy podjęty temat literacki.

O zmartwychwstaniu w westernie Cyda, nieustraszonego obrońcy słabszych, pisał wielki krytyk francuski, Andre Bazin. Lecz duch Hamleta także odżywa w westernowych wątkach, motyw zemsty, jeśli wolicie — zabójstwa usprawiedliwionego krzywdą nieraz po wracał i powraca na ekran. Prawda że Hamletowe pytanie „być, albo nie być”, a brutalnie: „zabijać albo nie zabijać” rzadko nęka bo-

dobnie bezwzględni mordercami. Zatem zamiana ról, zachodząca zawsze, gdy zemsta — kara posługuje się zasadą „oko za oko, ząb za ząb”, bądź czysto szekspirowskie nagromadzenie okropności, mieszające szyki tym, którzy lubują się w ocenie jednoznacznej, nicujące bowiem wartość czynów. Szekspirowska gwałtowność, bogactwo i nadmiar zbrodni miały za sobą wielowiekową tradycję. Jeśli promieniają na western, wyposażając go w wysoką temperaturę

dzięki temu, że dobro zwyciężało. Obowiązywał w westernach pewien wzór, podział charakterów na białe i na czarne, często uwidoczniony również strojami postaci. Dobry jaśniał bielą, w ubiorze złego dominowała czerń. Lee Marvin owinął czarnym płaszczem kłasyk westernowego gatunku, John Ford, i od „Człowieka, który zabił Liberty Valance’a”, czyli od roku 1962 Marvin pozostał symbolem zła.

Naturalnie, pozostał taki w na-



haterów westernów. Są oni ludźmi czynu — w czasach pionierskich zbyt wiele było do zrobienia na Zachodzie, by trawić czas i żyły na wahań natury moralnej. Western zwany „psychologicznym” stanowi wynalazek ostatniego ćwierćwiecza, na dobrą sprawę psychologizm rozsada zresztą ustalone kanony gatunku. Z wyczuć form tak trafny, że — chciałoby się rzec — tylko instynkt mógł je podpowiedzieć, Brooks zostawia więc wyłącznie widzowi sprawę oceny moralnej. A zmusza do niej nie wątpliwościami które dręczą bohatera i nolens volens udzie lają się widzowi. Impulsem staje się wymowa zdarzeń, okrutnych morderstw — strzałem w tył głowy — dokonywanych na żołnierzach eskortujących pociąg zaopatrzeniowy.

Ci mordowani, jak słyszymy, krótki czas przedtem sami byli po-

uczuciową, w napięciu, w zdolności kathartycznej wreszcie — w wypadku „Zawodowców” czynią to w harmonijnej zgodzie z wątkiem fabularnym sędziwym i łatwym do rozszyfrowania. Wiele, wiele lat temu — a opowiedział o tym ślepy bard — wyruszyła wyprawa, by odzyskać żonę, która porzuciła męża dla pięknego i dzielnego kochanka. I skryła się w mieście — bastionie, które trzeba było zdobywać podstępem i wiele ludzkiej krwi przelało się dla niewiernej.

Główną rolę w „Zawodowcach” gra Lee Marvin, na którego aktor skich losach można prześledzić, w jaki sposób twórca westernu dawał świadectwo prawdzie, wyrażonej przez Roberta Warshowa. Jak wia domo, w westernach od samego początku odzwierciedlał się mit, bodaj najstarszy z ludzkich mitów, o walce dobra ze złem. Optymizm i otuchę dawały westerny zawsze

szej pamięci, bo w rzeczywistości, tj. w filmie — zginął.

Jednakże z Marvinem-Libertyem ginie w filmie Forda również John Wayne, aktor — symbol dobra. Jak powiada inny amerykański krytyk, pozytywny i negatywny bohater westernu stanowią dwie strony tej samej monety. Kiedy na Dzikim Zachód wkrocza cywilizacja, a z nią pojęcia o sprawiedliwości bardziej nowoczesne, kiedy jej wymiar nie spoczywa już w rękach jednostki — „obu jednakowo czeka zagłada”.

Ford uporał się z dwuznacznością moralną westernu usunięciem Marviną i Wayne’a. „Człowiek, który zabił Liberty Valance’a” jest jego testamentem, którego elegijny smutek i nieodparte piękno, dyktu je nie tylko nieublagany czas kładący starem mistrzowi pożegnać się z zawodem... Ten sam czas odsuwa w legendę coś, co było rzeczywistością. Odchodząc w legendę

epoka pionierów obnaża zarazem swe słabości. Nadal bliska nam uczuciowo, nie wytrzymuje krytyki rozumu.

W „Kasi Ballou” epoka pionierów zostaje ośmieszona. Lee Marvin jest tutaj pijaczną, zabijając do wynajęcia pozbawionym decyzji, kogo ma zabijać. Spójrzcie jednak bo na pewno jak ja chowacie ten obraz w pamięci, jak uroczyście i godnie przywdziewa czar ny strój Mściciela przed ostateczną rozprawą z wrogiem chlebowców. Rytuał abluacji w szafluku, ceremonial golenia w lusterku przyczepionym u powały i na koniec ten strój wyjęty z kuferka, dzięki któremu starzec przelstoczy się w młodzieńca, pijany wytrzeźwieje, słowem, dzięki któremu znowu urodzi się heros. Miała być „Kasia Ballou” parodia westernu, lecz wydaje się, że w przypomnieniu scenie ton lirycznej tęsknoty przerwał śmiech. Wrzeszenie i żal za tym, co minęło, za prostotą czasów i powstałej z nich baśni — sprawiają, że poważnie widz i poważnie film.

Czarny strój wybrany dla Marviną w „Kasi Ballou” informował o potępijącej postawie twórców wobec Marvinowego procederu. U Brooksa Marvin nie używa takiego stroju. Ironia, dystans, samoświadomość moralnej dwuznaczności przejawia się w tytule filmu. „Zawodowcy” — w istocie, jakiz zawód uprawiają ci ludzie, w czym są sprawni, szybcy, co bezbłędnie umieją robić?

Epilog „Zawodowców” pointuje tę nową wersję wojny trojańskiej happy-endem. Helena zostaje zwrócona Parvosowi. Pan Grant — Melaus nie odzyskuje żony, gdyż pieniędzmi nie można opłacić miłości, i wolności, człowieka. Co do Marviną, rezygnuje, on i jego personel, z honorarium zdobytego uczciwą pracą w zawodzie.

Profesjonalista zatem czy fantasta, zbrodniarz czy nowy Cyd? Koło się kręci, od epitafrum dla westernu („Człowiek, który zabił Liberty Valance’a”) przez ośmieszenie („Kasia Ballou”) zaczynamy na powrót smakować zalety gatunku.

Przeżyta droga nie pozostała jednak bez wpływu, gorzka niedopowiedzenia, dwuznaczności tkwi we współczesnym ambitnym westernie. Western stał się Sztuką przez duże S — co nie jest bez znaczenia w okresie, gdy opowiastkom z Dzikiego Zachodu przypadło w udziale służyć schronieniem tradycyjnym wątkom i mitom. I — co



może ważniejsze — jako ostatnim potwierdzać, dziś już anachroniczny, status sztuki różnej od życia, lecz pomagającej żyć człowiekowi.

nastu latach dysponowała we własnym domu niezłe wyposażoną drukarnią dostosowaną do wielobarwnego druku.

Część współpracowników obserwowanych prosperitę szefowej postanowiła próbować pracy na własne konto. Fronda zakłada w drukarni J. K. Baranowskiego czasopismo „Uśmiech”, naśladujące wyraźnie „Wolną Myśl”. Ale kiedy owi konkurenci uruchomili nowy tygodnik humorystyczny pt. „Swawolna Myśl — Swawolne Zarty” — tego było pani Helenie za wiele. Wygrzywa proces o plagiat i wymierza bolesny cios w kieszeń swych łódzkich współzawodników.

Popularność pism pani Kokorzyckiej był to dostateczny powód, by zainteresować się jej osobą. Dodatkowym bodźcem stał się fakt, że niektórzy starsi łodzianie uparcie powtarzali informacje o tym, że jednym z cichych współpracowników rodziny Kokorzyckiej był Julian Tuwim. Przed paru laty, gdy pisałem właśnie książeczkę o dawnej satyrze łódzkiej, postanowiłem sprawę zbadać. Założenie, że jeśli pani Helena żyje, to mieszka nadal w swoim domu, okazało się

śluszne. Pierwsza wizyta nie była szczególnie udana. Rozmowa prowadzona przez próg, bardzo zdawkowa: nie nie pamięta, żadnych materiałów nie ma, może więcej wie córka, ale ta właśnie wyszła. I konwersacja się urwała.

Drugie spotkanie było znacznie bardziej udane. Zrezygnowałem z nadmiaru informacji o pracach naukowych nad dawną prasą łódzką, ot, po prostu wizyta dawnego, wiernego czytelnika. Posypały się wspomnienia. Pisma były redagowane wprost w drukarni przez Kokorzyczkę, a później i jej syna. Inni łódzcy współpracownicy, podpisujący na wydawnictwach jako redaktorzy odpowiedzialni, nie grali większej roli, ale byli prawdopodobnie przeznaczani do ewentualnego odsiadywania wyroków. Głównym współautorem wydawnictwa był zamieszkujący w Wiedniu płodny autor 19 książek, aktywny dziennikarz, Roman Hernicz. Był on opatrnością w człowiekiem pani Heleny (powiązany z prasą polonijną, były korespondent wiedeński dzienników warszawskich, twórca ambitnych poezji i patriotycznej prozy, zaczyna tracić

grunt pod nogami, zrywają z nim współpracę poważne czasopisma jak np. „Rzeczpospolita”). Wiele może wyjaśnić tytuł jednego z jego późniejszych wierszy — „Przebijam mój smutek”. W poszukiwaniu źródeł zarobku i pola działalności pan Roman sam znalazł drogę do firmy Heleny Kokorzyckiej. I na dobre się tu zadomowił. Z patriotycznego barda przerodził się szybko w swawolnego „Wujaszka” — pod tym pseudonimem bowiem gwędził z czytelnikami i ganił „zaklamanych świętoszków” atakujących przybytek prawdziwej wolności i weselości czyli prasę pani Heleny. Pełno było Hernicza we wszystkich piśmiennikach, a jak szefowa oceniła jego współpracę — niech świadczy fakt, że Zakłady Graficzne przy ulicy Podleskiej (obecnie Curie - Skłodowskiej) drukowały mu nie tylko łatwo sprzedane dzieła, jak np. „Mózg i krtań” — opowieść o Janie Kiepurze (1931), ale nawet włożono wiele wysiłku, aby nadać prawdziwie wytworną szatę graficzną tomowi jego liryków „...A to się krwawi tylko serce moje”. Ceniony był ten Hernicz, ponieważ obok

własnych tekstów, dostarczał ilustracji i wycinków z prasy bulwarowej Wiednia i Paryża, co więcej, jego wieloletnia współpraca z wydawnictwami polonijnymi pozwoliła na zorganizowanie kolportażu pism pani Kokorzyckiej wśród wychodźstwa głównie we Francji. Nakłady pism były na owe czasy spore, i wynosiły według słów pani Kokorzyckiej przeciętnie kilkanaście tysięcy, co przy maksymalnych oszczędnościach w pracach redakcyjnych i cenach różnych pism od 15 do 40 groszy, dawało podstawę do rozwoju przedsiębiorstwa. — „Panie! Gdyby nie wojna pracowałyby już u mnie pospieszne maszyny rotacyjne dla wieloset tysięcy kolorowych nakładów”. Były już jakoby zamówione. Zapytana w sprawie Tuwima pani Helena oświadczyła mi mniej ni więcej, że pamięta doskonale młodzieńca z muszką, który mieszkał w pobliżu i przychodził do jej męża, który... udzielał mu rad jak należy pisać. Nie potrafiła jednak podać żadnych szczegółów tej współpracy. Tak więc jesteśmy u źródła pewnej legendy, bowiem nie wykluczając, że Tuwim mógł znać Ko-

korzyckiego i kontaktować się z nim sporadycznie, należy stwierdzić, że w pierwszych rocznikach piśmiennik nie ma mowy o tekstach Tuwima, który był już w latach 1919—1920 poetą o znacznej popularności. W owoch pierwszych latach nie udało się odnaleźć w „Wolnej Myśli” żadnych, choćby nieco sprawniej napisanych wierszy. Poza tym szowinistyczne akcenty znajdujące się w piśmie wykłuczają zbliżenie między jego redaktorem a Tuwimem. Wreszcie w teście „Wolnej Myśli” poeta doczekał się rychło ataku równie prymitywnego co i ostrego. Tak więc całą sprawę możemy śmiało między bajki włożyć.

Kiedy myślę o tej przerwanej w połowie drodze od polemicznego świstka do koncertu prasowego, który zaczął powstawać przy ulicy Curie - Skłodowskiej, chciałbym odpowiedzieć na pytanie, dlaczego wydawnictwa „Wolnej Myśli” są nam tak niesympatyczne. Frywolność czy pornografia jest tu już dość zwierzają i gdzie jej do naszej sex-epoki. Nie trzeba dziś odwiedzać Kopenhagi, ażeby zobaczyć rzeczy śmielsze niż to, na co ze-

zwalała cenzura pani Kokorzyckiej.

Opory budzi myśl, która, jak wydaje się, stała u ideowych podstaw całej imprezy, że ludzium niewiele trzeba do szczęścia — chcecie komedii — macie komedie, zobaczcie kawałek zadka, kilka byle jak skleconych wierszy i anegdota... i piacie, piacie. Nie jestem spowiednikiem i nie wiem jak tego rodzaju literatura wpływała na morale, ale na pewno paczyła gusta. Nie jest przypadkiem, że właśnie Łódź, miasto o stosunkowo niskim ogólnym poziomie wykształcenia, stało się największym w Polsce ośrodkiem najprymitywniejszej prasy. Dopiero obejrzenie kilku choćby numerów tych pism pozwala uzmysłwić sobie jaką przeżyliśmy drogę.

Tych kilka myśli nasunęło mi się, na schyłku 1969 roku, kiedy rodzina odprowadziła Kokorzyczkę na miejsce wiecznego spoczynku.

* Pełne tytuły, lata wydań, nazwiska redaktorów odpowiedzialnych i drukarzy wymieniamy W. Kaszubina: Bibliografia prasy łódzkiej 1863—1944.W-wa 1967.

Longplay i NOWOŚCI

Stąłem się posiadaczem czterech najnowszych płyt najwyższej jakości. Hi-Fi. Już kręci się talerz znakomitego gramofonu produkcji krajowej. Oto pierwsza płyta — longplay Kazimierza Grzeszkowiaka. Lubię Grzeszkowiaka, choć nie porwał mnie pęd dyskusji: czy Grzeszkowiak jest wrogiem polskiego chłopca, czyli go też miłuje. Jak do tej pory, łaskotał mnie wewnętrzny uśmiech, gdy słuchałem go go śpiewanych opowieści. Trochę w nich z soltyśa Kierdziołka — Ofierskiego, trochę z przydrożnej kapliczki i trochę z rozprawy socjo logicznej. Dziś słucham tego i jedynym efektem jest kiwa nie głowa: tak, znam, znam — dobre. Przesłucham igię po rowkach. Nic, żadnej no wości, bomby, zaskoczenia. Tego typu utwory cieszą tyl ko jeden raz. Nawet najlep szego kawału nie należy o powiadać dwa razy.

Następny longplay zwraca uwagę wielce krzykliwą o kładką, acz znów wygląda ona na zastępczą. Jest nięgu stowna. No ale napis „Cała jesteś w skowronkach” — Skaldowie, — zamyka kupu jącym oczy. Popularność tego zespołu jest ogromna. Niedawno pewien szpakowa ty pan wyszedłszy z restauracji zatrzymał się i zaśpie wał: — Cały jestem w sko wronkach! —

Ale, do płyty. Longplay przepisowo cierpi na uwiad popularności. Jego aż siedem przebojów omiotło wszy stkie możliwe listy bestselle rów, ale od dawna już ich tam nie ma. Natomiast u szczytu są teraz utwory „Ma teusz czwarty” czy „Od wschodu do zachodu słońca”, których dla odmiany nie ma na aktualnej płycie.

Wymienione przed chwilą piosenki powstały już po powrocie Skaldów ze Stanów Zjednoczonych, skąd przyjechali wprawdzie bez gitarzysty Krzysztofa Pal lony, ale za to z organami Hamonda uzbrojonymi w wirujące głośniki Leslie.

Sądząc po najnowszych utworach, podróże nie tylko wzbogacają materialnie, ale

i koncepcyjnie. Optymiści twierdzą, że będzie można je kupić już w... kwietniu.

Teraz o naszych, łódzkich zespołach — Trubadurzy i No to co.

„Long” Trubadurów „Ej, sobótka, sobótka”, ukazuje słuchaczom, czym różni się styl od manieri. I tak, gdy styl tworzy jedną drogę dla powstawania nowych koncepcji, to maniera stanowi jeden pomysł dla całej drogi grupy. Nie muszą dodawać, że Trubadurzy reprezentują to drugie. I to pod każdym względem; a już szczególnie w monotonnych aranżacjach.

Kiedyś, znany kompozytor i aranżer Ryszard Poznakowski uzdrowił zespół, tworząc trzeci jego skład. Z pierwszych Trubadurów pozostała ponoć wówczas tylko jed na pałeczka od perkusji. W efekcie otrzymaliśmy już po przedni longplay, który zawierał kilka ex-przebojów. Najnowsza edycja płytowa wydaje się być złożona z odrzutów poprzedniej.

Przypomina mi się tutaj powiedzonko pewnego bogatego szewca miarowego. Ma wiał on tak:

„O drogie dziatki, mocno się mylicie Chcąc zdobyć sławę na jednym kopycie”.

Od pewnego czasu daje się zauważyć stopniowy spa dek popularności Trubadurów, a płyta „Ej, sobótka, so bótka”, zamiast im rozgłos przywrócić, stanowi raczej gwóźdź do trumny. Gwóźdź ten nie przykuł jednak Ryszarda Poznakowskiego, który przed nieodwracalnym zabi ciem wieka.

Ostatnia płyta spod choin ki wytacza się z koperty. „W murowanej piwnicy” — „No to co”. Folklorystyczne ciągoty grupy, stanowią moc ną broń w jej ręku, choć można by to wszystko robić ciekawiej. No to co — są sympatyczni, atrakcyjni wizualnie, wobec czego dobrze na estradzie. Niestety są ni kil muzycznie i głosowo. Po stękiwania solisty — Jan-



Fot. A. Różycki

czerskiego nie odbiegają od brać pewnych zasług na po nucenia przy gołeniu prze ciętnego śmiertelnika, no ale i to może być mile. Lecz choć to wielce szlachet ne, nie służy jednak dobrej zabawie.

spektakle tygodnia

		spektakli	widzów	proc.
TEATR WIELKI	„Cyrułek sewilski”	2	2520	100
	„Lohengrin”	1	1260	100
	„Faust”	1	1260	100
	„Tosca”	1	1260	100
	„Romeo i Julia”	1	1260	100
NOWY	„Życie jest snem”	3	2100	100
	„Pierścień wielkiej damy”	2	1060	60
	„Szkoła kobiet”	1	500	75
	„Za siedmioma górami”	2	1400	100
Mała Sala	„Mąż i żona”	3	450	75
	„Bliżni niezłomy”	2	300	75
	„Księżyc świeci nieszczęśliwym”	1	130	60
POWSZECHNY	„Boso ale w ostrogach”	3	1980	100
	„Ojcowie rodzą się w szafach”	1	600	90
	„Advocatus diaboli”	1	500	80
JARACZA	„Irydion”	3	1806	100
	„Jadzia wdowa”	2	844	100
OPERETKA	„Skrzydlaty kochanek”	6	3800	60
	FILHARMONIA	2 koncerty symfoniczne	850	stuch. 60

O FILMACH DOBRZE I ŹLE



Przed 150 laty Francuz Benjamin Constant de Rebecque napisał powieść, którą historia literatury ceni wysoko jako studium psychologiczne o wartościach w dobie przedromantycznej nie spotykanych. „ADOLF” Constanta to powieść przedstawiająca tragiczną, niszczącą miłość dojrzalej kobiety i młodego chłopca a wnikliwa analiza psycho logiczna tego uczucia stanowiła jej główne atuty.

Reżyser francuski B. Toublanc-Michel uznając widąc problem „niszczącej miłości” za wiecznie żywy i interesujący dokonał filmowej adaptacji powieści Constanta. Dla adaptacji tej znalazł nawet ciekawy pomysł, po legający na uwspółcześnieniu akcji w sposób nader przemyślny.

Młody chłopak, filmowiec-amator po stanowiła zrealizować film w oparciu o powieść Constanta. Sam pragnie grać

Adolfa i poszukuje partnerki dla roli Eleonory. Znajduje ją w osobie gu wernantki z pobliskiego hrabiowskiego domu. Guwernantka spełnia wszystkie marzenia młodego filmowca — jest tak jak bohaterka powieści — Polką, a jej wiek i uroda predestynują ją w pełni do roli Eleonory. Spełnienie marzeń na tym się nie kończy. Od twórcy roli Eleonory i Adolfa w swym życiu rzeczywistym, już nie filmowym, zaczynają być parą kochanków, których miłość i cierpienia Benjamin Constant przed dziesiątkami lat tak przekonująco czytelnikom przedsta wiał.

Te równoległe prowadzone romanse, ten powieściowy ucieleśniany w realizowanym filmie i ten rzeczywisty stanowią wdzięczne wprowadzenie w pełną już współczesność.

Gdy okrutny i niewyrozumiały, a jak że uroczy, hrabia przerywa filmową sielankę, oglądać już będziemy tylko współczesną historię miłości Adolfa i Eleonory. Miłość jako temat pozostaje, a ktoś lepiej niż Francuzi potrafi o niej mówić zarówno w tonie tragicznym jak i swawolnym. Toteż w miarę pełniejszego wchodzenia we współczesną wersję tej miłości coraz więcej komediowych sytuacji i perypetii, w czasie których dzielna, współczesna Eleonora goni swego Adolfa. I choć chwilami dzieje miłości naszych kochanków, zaczynają trochę nużyć, gotowaliśmy to chyba wybaczyc za ślęz na tonie, jaką nam twórcy filmu zgo towali.

Na tym uwagi na marginesie filmu „Adolf” mogłyby się zakończyć. Takim go widzieć mogą Francuzi i wszyscy inni widzowie. Polskiej publiczności dostarcza ten film jednakże uciech i refleksji, o których twórcy filmu na wet przez moment nie pomyśleli.

W pogoni za autentyzmem — wszak bohaterka jest Polką — wprowadzili do filmu sporo realiów a'la polonais. Upitrasili przy okazji pasztet, który przelamy tylko dzięki temu, iż jesteśmy pono narodem o poczuciu humoru. Dzięki niemu w czasie polskiej sekwencji „Adolfa” rozbrzmiewa w naszych kinach serdeczny śmiech. Bo jakże inaczej przyjąć uroczą Polkę, która ustami Ulli Jacobson wygłasza śliczną polszczyzną wyznanie: „ja ciebie kocham” (gdzież nasze piękne „Kocham cię?”), jak inaczej przyjąć jej przyjazd z Francji do górskiej wioski po spadek i wynajęcie przez nią na Okęciu samolotu po to, by mogła przy wieźć ukochanego do Zakopanego?

Oglądamy też nasze Zakopane w wy daniu, o którym poniektórzy marzą, Zakopane z czasów doktora Chałubińskiego i Sabaly, nietknięte straszliwą cywilizacją. Zadrósć człowieka ogarnia, nawet w czasach, gdy tyle na naszych ulicach przepięknych kożuchów, kiedy patrzy się na cudowną kożuchowo-futrową rewie, jaką prezentują nam goście i mieszkańcy Zakopanego. Na każdą porę dnia w innym kożuchu, a te futra z lisów i bliżej nie rozpoznanych zwierzątków! Polscy panowie noszą oczywiście por-

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

tki z parzenicami i kapelusze z pióra mi, panie barwne chusty.

By obraz egzotyki, nietkniętej nie mał cywilizacji Polski był pełen, francuscy realizatorzy zalecili naszym rodakom cwałowanie konno. Galopujemy zatem po drózkach Zakopanego i bez drożach Tatr konno i trzeba przyznać, że to nawet efektywnie wypada. Jesteśmy gościnni, umiemy jeść i pić tę go i wyprawiamy piękne wesela. Folklor mamy jak wiadomo małowniczy. Cóż się więc dziwić obrośliśmy cywilizacją Francuzom, że przyjechali do nas po egzotykę, by przy jej pomocy cie niej poprowadzić nianuse perypetii swych światowych (z prowincjonalnego francuskiego miasteczka) bohaterów.

Czy warto się na tę hecę oburzać? Chyba nie. Może tylko trochę położyć, iż tak trudno zmienić pewne obiego we na Zachodzie wyobrażenia o naszym kraju. A czymśy sami bez winy? Czyż nasze foldery nie epatują oka cudzoziemców głównie tą właśnie dziw nie rozumianą egzotyką, czy do niedawna „Mazowsze” i „Śląsk” nie były głównymi ambasadorami sztuki polskiej w świecie? Przykłady można by mnożyć.

Dziwić się natomiast możemy polskim konsultantom i pomocnikom francuskiej ekipy, choć trochę mogliby chyba mieć wpływu na ten obraz Polski. Powiedzą na pewno, że kinematografia to przemysł i pieniąż. Nas jednak niezupełnie ta wypowiedź przekonana.

EWA NURCZYŃSKA

OBIEKTYW

WRAŻENIA JEDNEGO WIECZORU

O miedze sasiadują w programie telewizyjnym propozycje różnorodne, odmienne gatunkowo, uciekające się do innych środków wyrazu. Wiele z nich przepływa jakby obok nas, nie pozostawiając silniejszego wrażenia. Tych zapadających trwale w pamięć jest znacznie mniej. Ale może to i dobrze, bo odcinają się na tle przeciętności.

Oto moje wrażenia z jednego wieczoru — 26 stycznia — który przyniósł aż dwie pozycje programowe różne diametralnie, a przecież takie, że trudno było wobec nich pozostać obojętnym.

Przed wszystkim łódzki program publicystyczny „Wyzwo lencie i wyzwoleniu”, zrealizowany na antenie lokalnej, choć nie moim zdaniem nie przemawiało przeciw ukazaniu go w dom całego kraju (tylko malenki fragment tego programu zamieszczono w „Monitorze”).

Był to przykład dobrej roboty dziennikarskiej. Pracownicy LOT dotarli do ludzi, których twarze zarejestrowała taśma filmowa lub klisze fotograficzna w pamiętny dzień wyzwolenia Łodzi 19 stycznia 1945 roku. Reporterzy łódzcy pojechali po 25 latach do Moskwy i tam z pomocą radzieckich kolegów sfilmowali rozmowy z ludźmi, którzy wyzwolali Łódź: z dowódcą korpusu pancernego, który wdarł się do miasta — gen. Juszcukiem, z gen. Konstantinowem, z pułkownikiem (przed laty porucznikiem) Raduchinem. Te filmy we relacje szły w programie na przemian ze studijną rozmową z łodzianami, którzy uczestniczyli w witanii zwyciężskich czołgów radzieckich.

Autorzy programu pokusili się udowodnić, że historyczne wydarzenia ze stycznia 1945 roku to jeszcze nie przeszłość. Żyją one w ludziach, w ich żywej i wdzięcznej pamięci.

Dzięki technice telewizyjnej i filmowej z ekranu przemówili ludzie, których dziś dzieli tysiące kilometrów, których losy potoczyły się najróżniej, ale których łączy wspólne wspomnienie tamtych dni. Nie słowa były w tym programie najważniejsze. Niektóre wypowiedziano nieporadnie, ale czuło się, że wszyscy uczestnicy programu — i ci z da lejki Moskwy, i ci z Łodzi — związani są dzięki tym wspomnieniom nierozzerwalnym węzłem braterstwa.

Tego samego wieczoru Teatr Telewizji nadał nową wersję „Granicy” Zofii Nałkowskiej. Tę znakomitą powieść z okresu międzywojennego przysposobił tym razem na ekran Janusz Warmiński. Był to spektakl, o którym chciało się pomówić, choć trudno przyznać mu jednoznacznie, że był w pełni udany.

Na czym polegały charakterystyczne cechy tej adaptacji? Prędę wszystkim na ograniczeniu bogatej galerii postaci powołanych do życia na stronach książki Nałkowskiej — do czterech. Pozostał tylko główny bohater — Zenon Ziem biewicz, jego narzeczona (potem żona) Elżbieta, „ta trzecia” — Justyna Bogutówna i kusiciel Czechliński. Drastyczna redukcja ilości osób dramatu nie wyczerpuje sprawy. Dochodzi do tego specyficzny klucz ujmowania tych postaci przez kamery telewizyjne.

Klucz ten polegał na tym, że w całym przedstawieniu dominowały wielkie zbliżenia, obejmujące bardzo często tylko twarze bohaterów. W ten sposób reżyser pogłębił łożenie tych czworga ludzi ze środowiska, w którym żyli, wy preparował ich konflikty z konkretnego tła, sprowadził je jakby do czynników pierwszych, uschematyzował.

Dla prezentacji gry aktorskiej ta koncepcja reżyserska miała swoje dobre strony. Przesztoila złożoną, wielowar stwową strukturę narracji Nałkowskiej do potrzeb kame ralnego kwartetu. Kwartetu pełnego wirtuozerii. Jedno cześnie jednak Warmińskiemu nie udało się uniknąć daleko idących uproszczeń, zubożenia motywacji postępowania poszczególnych osób. Drapieżny obraz konfliktów społecznych ograniczony został do dalekich pomruków, a problematyka moralna — pełna u Nałkowskiej poieni i subtelności — do melodramatu.

A jednak także przedstawienia, jak telewizyjna „Granica”, zapamiętuje się. Była w tym spektaklu duża doza autodyscy pliny i konsekwencji. Kto oglądał, nie uzna chyba wieczoru ze stracony.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

POLONICA
ECHA GDAŃSKIEGO
ZJAZDU

XII Zjazd Pisarzy Ziemi Zachodnich i Północnych w Gdańsku, znalazł szerokie odbicie na łamach „Inostranaj Litieratura”. Grudniowy zeszyt tego miesięcznika szeroko cytuje głosy naszych periodyków literackich otwierając nimi międzynarodowy przegląd prasy pn. „Kultura i współczesność”.

„Inostranaj Litieratura” omawia artykuł K. Koźniewskiego („Polityka”) oraz zjazdowy wystąpienia pisarzy: T. Hołuj, Z. Załuskiego, S. Muskat-Fleszarowej, W. Szewczyka i A. Rogalskiego. Z wysoka oceną „IL” spotkała się przeprowadzona na Zjeździe przez Zbigniewa Zakwieczę krytyczna analiza powieści radzieckiego pisarza K. Simonowa pt. „Żywi i martwi”.

Miesięcznik radziecki nie mał w całości cytuje też „Apel do pisarzy całego świata”, uchwalony w Gdańsku. „Inostranaj Litieratura” stwierdza, że apel pisarzy polskich, ogłoszony w rocznicę wybuchu II wojny światowej, nie po zostanie bez odpowiedzi.

K. F.

AUSTRIA — POLSKA

Ukazał się kolejny numer czasopisma „Osterreich — Polen”, wydawanego przez Towarzystwo Austriacko-Polskie w Wiedniu. Numer, bogato ilustrowany, zawiera m. in.: omówienie „Polskich Dni w Salzburgu”, które odbyły się w październiku ub. roku, reportaż o Warszawie, sprawozdanie z Festiwalu Filmów Krótkometrażowych w Krakowie, obszerny artykuł o nowoczesnej sztuce gobelinowej w Polsce, a następnie o stosunkach handlowych pomi-



dzy Austrią i Polską. Ponadto w numerze znajdzie my krótkie artykuły o wyście Krakowskiej Filharmonii w Linzu, informacje o nowym ambasadorze Polski w Austrii — Lesławie Wojtydzie oraz omówienie działalności „Czytelnicy Polskiej” w Wiedniu.

POLONICA

ARKADIUSZ KŁOS

Kosmonauci z deczańskich fresków

W południowej Jugosławii stoi monaster w Decznanach, założony w XIV wieku za panowania Stefana III. Budowano go osiem lat — od roku 1327 do roku 1335. W 1350 świątynia cerkwi w monasterze pokryto ponad tysiącem fresków.

Deczany zawsze ściągali wielu turystów i pielgrzymów. Zjawisko, o którym będę pisał, odkryto na początku 1964 roku.

Student Akademii Sztuk Pięknych, Aleksander Paunović, przy pomocy teletelektury zrobił zdjęcia kilku fresków, a w tej liczbie fresków „Ukrzyżowanie” i „Zmartwychwstanie” Chrystusa. I to, czego przedtem nie zauważono gołym okiem (freski znajdują się na

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje

**175-LECIE URODZIN
A. S. GRIBOJEDOWA**

W sto siedemdziesiątą piątą rocznicę urodzin wybitnego komediopisarza rosyjskiego Aleksandra Sergejewicza Gribojedowa prasa radziecka zamieściła artykuły o jego życiu i twórczości. W związku z tym przypomnijmy sobie sylwetkę tego pisarza.

Urodził się w Moskwie, 4.I. 1795 roku w rodzinie szlacheckiej. Ojciec pisarza

był komediopisarzem francuskim oraz pisze sztuki do spółki z Katielinem i Szachowskim.

Rozgłos, uznanie i sławę zdobywa Gribojedow, komik, komediopisarza napisaną w latach 1823—1824 pt. „Mądremu biada” (Gorę otuma). Tekst sztuki pojawia się wprawdzie w almanachu „Russkaja Tallija”, ale z wieloma skręśleniami poczynionymi przez carską cenzurę. Mimo to czytelnikowi rosyjskiemu

w Tyflisie z Niną, córką pisarza gruzińskiego Aleksandra Czawczadze. W tym że roku Gribojedow został mianowany ministrem-rezydentem, przy dworze szacha i wyjeżdża do Teheranu. Gnie w roku 1829, po bohaterkiej obronie, podczas rozruchów antyrosyjskich w Teheranie, gdy sfanatyzowany tłum wymordował wszystkich członków misji.

**MAURICE BEJART
W BELGII**

Słynny francuski choreograf, twórca nowoczesnego baletu, Maurice Bejart przeniósł się ostatnio ze swym zespołem na stałe do Belgii. Przypomnijmy, że w początkach swej kariery artystycznej Bejart był przez długi czas niedoceniany we Francji, a poznał się na jego talencie właśnie dopiero w Belgii.

Obecnie Bejart dostał do swej dyspozycji w Brukseli olbrzymi i bardzo wygodny lokal, dawną zajezdnię lokomotyw, która została znakomicie przystosowana do potrzeb baletu. Będzie tu kilka sal przeznaczonych do ćwiczeń baletowych, duża scena, kantyna, pomieszczenia biblioteczne, sala rekreacyjna, pracownia kostiumów, i inne. Bejart postanowił uruchomić w Brukseli Centrum wyszkolenia baletowego dla młodych adeptów tej trudnej sztuki. Na razie przeszkolenie otrzyma około trzydziestu osób w wieku od lat 14 do 20. W programie Centrum przewidu-



A. S. Gribojedow

wywołał się z polskiego roku Grzybowskich.

Młody Gribojedow od dziecka już odznaczał się niezwykłymi uzdolnieniami. Dość powiedzieć, że mając lat 11 zapisuje się na uniwersytet moskiewski, a w cztery lata później ma już ukończone dwa wydziały — filologiczny i prawniczy. Nie poprzestał na tym i wkrótce podejmuje studia matematyczno-filozoficzne. Wybuch wojny 1812 roku nie pozwała mu jednak na kontynuowanie nauki. Aleksander Gribojedow załącza się do wojska jako ochotnik, lecz nie bierze bezpośredniego udziału w walkach. Po wojnie porzuca służbę wojskową i jest urzędnikiem w ministerstwie spraw zagranicznych. W tym czasie utrzymuje ścisłe i przyjazne stosunki z przyszłymi dekabrystami bierze udział w życiu literackim. Swoje pierwsze utwory pisze dość wcześnie, a przebywając w Petersburgu dokonuje przeró-

komedia Gribojedowa zna na jest w całości gdyż krąży w odpisach. W latach w których pisarz tworzył to dzieło przyjął się do dekabrystami, podzielał ich przekonania, być może wykonywał ich polecenia. Znalazło to wyraz w politycznej i społecznej wymowie sztuki „Mądremu biada”. Komedia ta napisana wierszem w treści swej jest ostrą satyrą na ówczesne stosunki społeczne.

Gribojedow (obok Kryłowa) wprowadził do języka literackiego elementy mowy potocznej, co wzbogaciło rosyjski język literacki, a szereg dowcipnych powiedzeń, aforyzmów, przysłów weszło na stałe do literackiego języka jako charakterystyczne zwroty frazeologiczne.

Po powstaniu dekabrystów Gribojedow zostaje aresztowany, ale po kilku miesiącach z braku dowodów, wypuszczony na wolność. Wyjeżdża na Kaukaz. W roku 1828 żeni się



Scena z baletu Bejarta

je się kurs tańców klasycznych i nowoczesnych, ćwiczenia wokalne, naukę jogi, zapoznawanie się z rytmami Wschodu i Zachodu. W tej chwili Bejart prze-

bywa w Paryżu po czym wybrał ma się ze swym zespołem do kilku stolic i większych miast w Europie. Następnie wrócił do Brukseli by wziąć udział w nakręcaniu nowego filmu pt. „Romeo i Julia”.

do techniki i nauk ścisłych. Również i wielu naukowców znanych jest z tego, że przy pomocy aparatów służących w zasadzie do celów technicznych osiągnęli np. rysunki czy wykresy o wybitnych walorach estetycznych. Począwszy od lat 50-tych naszego stulecia zaczęła się rozwinąć sztuka komputerowa.

**„L'EXPRESS”
O ROSTROPOWICZU**

„Patrz przez okno, patrz na słońce, na niebo, myśl o wszystkim z wyjątkiem twej wiołoncele — i wtedy graj! Muzyka to odtwarzanie życia” — tak powiedział kiedyś do jednego ze swych uczniów w Konserwatorium, słynny radziecki wiołoncelista i pedagog, Mściław Leopoldowicz Rostropowicz. Słowa te przytacza paryski tygodnik „L'Express” pisząc o radzieckim artyście, że dorównał on w swej sztuce wiołonceleście o światowej sławie, Hiszpanowi Pablo Casals.

Rostropowicz bawił ostatnio w Paryżu wraz z grupą moskiewskiego Teatru Wielkiego. Był dyrygentem orkiestry opery „Eugeniusz Oniegin”, w której występowała żona wiołoncele — Galina Wiszniewska. Rostropowicz dał też kilka koncertów w różnych miastach Francji. M. L. Rostropowicz urodził się w roku 1927. Był laureatem konkursu muzycznego w Moskwie w roku 1945 i Międzynarodowego Konkursu w Pradze w roku 1950. Jest autorem szeregu kompozycji na wiołoncele. Od 1960 roku jest profesorem Moskiewskiego Konserwatorium. Otrzymał Nagrodę Państwową ZSRR w roku 1951 i jest laureatem Nagrody Leninowskiej (1964).

**SZTUKA
KOMPUTEROWA**

Nie tak znów mało artystów przejawia zdolności



Przykład grafiki komputerowej

rach estetycznych. Począwszy od lat 50-tych naszego stulecia zaczęła się rozwinąć sztuka komputerowa.

Ostatnio w Hanowerze odbyła się interesująca wystawa dzieł takiej właśnie sztuki. Zgromadzono tu szereg prac zarówno czarno-białych jak i kolorowych, jak rysunki i wykresy, a nawet przestrzennych (np. z drutu lub plastiku) poruszanych motorkiem, struktur tych obiektów wyznaczał komputer. Obiekty te nadesłano z rozmaitych ośrodków obliczeniowych amerykańskich, brytyjskich, niemieckich, japońskich. Podkreślił jednak, że żaden mózg elektronowy nie jest w stanie samodzielnie stworzyć dzieła sztuki. Wykonuje on tylko polecenia człowieka, za to powierzone mu podstawowe zadanie może rozwiązywać w ogromnej ilości wariantów.

Od pierwszego lutego br. w Ośrodku Propagandy Sztuki w Łodzi (Park im. H. Sienkiewicza) czynna jest wystawa grupy „Konkret”. Wystawiają tam swoje prace współpracujący z naszą redakcją następujący artyści: Romana Hałat, Aleksander Hałat, Ryszard Hunger, Andrzej Jocz, Zbigniew Kosiński, Andrzej Nawrot, Henryk Strumiłło.

Na wystawę tę serdecznie zapraszamy Czytelników „Odgłosów”.

Bez strachu

LUZIE

(...zawołajcie ludzi!)
(Adam Mickiewicz — „Dziady” część IV)

Oto stoi człowiek przed człowiekiem, człowiek wobec człowieka, człowiek obok człowieka — sprawa między nimi jest ludzka, chodzi o miłość, o złość, o daleką podróży, lub tylko o bań o miłości, o złości, o dalekiej podróży...

Ala oto jeden z nich wyciąga nóż albo pistolet, albo znikła, okazując się udającym człowieka duchem — sprawa między nimi przestaje być ludzka, jeden z nich krzyczy, albo obaj krzyczą (w przypadku z duchem tylko jeden z nich jest...) Tak czy inaczej krzyczą, aby przybiegli zwałeni krzykiem ludzie... inni ludzie, ludzie trzeci, czwarcy i dziesiąci.

Krzyczący pragnie, by czyjeś ręce wyrwały komuś nóż, pistolet... by czyjeś ciało wypełniło przestrzeń uprzednio zajęta przez ducha. Sprawa odczłowieczona, trzeba zatem ludzi, aby ją uczłowieczyć, trzeba ludzi, dla uświadomienia ludzkiego świata, dla przypomnienia ludzkiego świata, jego praw, jego uczuć, instynktów i klimatów. Czy wiesz, gdzie posuwa się osobnik ludzki w swym życiowym obchodzie dotyka światła swego, gatunku, czy możliwe jest dla niego przejście przez inne nieludzkie światy?

Oto człowiek idzie przez kamienne pole, idąc widzi kamienie, stapa po kamieniach, dotyka... przez te formy obcowania jednostki kamienne świat nie zostaje uczłowieczony, przeciwnie — samotny człowiek w niezmierzonym kamiennym polu zostanie „ukamienowany”, zginie, bowiem jeżeli kamienne pole będzie dostatecznie wielkie, człowiek umrze z głodu, z zimna, z gorąca. Możliwe jest przejście przez małe, nieludzkie światy, w dużych nieludzkich światach człowiek umiera. Świat ludzki jest światem życia, poza nim rozciąga się świat śmierci... Małe nieludzkie światy możliwe do przekroczenia to szczególne światy i tak po suwamy się szczęśliwie i błogo przez pasma pełnego życia, przesadzamy z lekkim niedużym pasemka śmierci do chwili, w której rzecz oceniana jako szczególna śmierci, jej mały świat tek, okaże się wielkim, pełnym światem śmierci. Wędrowni nasze są ciekawe, w istocie owe zabawy w śmierć cenimy bardziej niż szersze przeciętne okresy pełnego życia — nikt z nas nie jest pozbawiony w tym układzie rzeczy wielce dramatycznych spłię, spięte osłatecznych, lub o pozórach osłateczności. Ponadto jakże to miło być ratowanym, żyć, nie umrzeć, a jednak być przywracanym życiu — to tak jakby żyć tydzień podwojonym. Smakiem życia, solą życia są owe nieludze katastrofy, momenty zawieszania i oto znowu żyjemy wyciągnięci ze szczególny przez przyjazne ręce, ogrzani przyjaznym oddechem. Ludzie wezwani zawsze przyjdą, ludzie do brzo wiedzą, że zaniedbanie jednego ludzkiego istnienia zagrozi istnieniu milionów...

Nawet teraz, pisząc odkładam pióro i uważnie słucham — może ktoś gdzieś woła ludzi — ja jestem jedynym z nich.

BERNARD SZTAJNERT

Dwudziestu przyjaciół WILLIAMA SHAW

Dokończenie

Wypełniłem samochód odpadkami, których chciałem się pozbyć. Koszyk Higginsa wyjął dał niewinnie wśród zbieranych żelastwa i śmieci.

Przyjechałem na teren składu. Gdy w długiej kolejce samochodów zbliżałem się do dołów, spostrzegłem niedaleko znajomy wóz. Prowadził go Ben Jackson, jeden z najlepszych przyjaciół Williama Shaw.

Skręciłem w bok i zaparkowałem swój samochód. Pobiegłem przywitać się z Benem. Zauważyłem, że nie był zadowolony ze spotkania. Spojrzałem na odpadki zgromadzone w jego wozie i zrozumiałem. Higginsa dobrze się namęczył tej soboty, robiąc tyle kursów!

— Ja pierwszy wpadłem na ten pomysł — wykrzyknął zdenerwowany Ben.

— Zmieścimy się obaj, dość tu miejsca — uspokajałem przyjaciela.

— Ale uważaj, jeden koszyk mógłby przejeść, lecz dwa wzdają podejrzanie.

To mówiąc Ben wskazał ręką trzech dozorców zajętych zbieraniem resztek odpadków zrzucanych z wozów.

— Nie mogę zrezygnować — odpowiedziałem — nie ma tu w pobliżu innego śmietniska.

W tym właśnie momencie zdarzył się wypadek. Nie wiem, czy to ja pośliznąłem się, czy też Ben mnie potracił. Faktem jest, że przejeżdżający właśnie wóz uderzył mnie i u padłem na ziemię nieprzytomny.

W jakimś momencie poczułem, że ktoś podniósł mnie z ziemi i usadowił na przednim siedzeniu mego wozu. Ocknąłem się.

— Pański przyjaciel zrzucił pana śmieci i odjechał. Najlepiej będzie wrócić teraz do domu — radził mi zdenerwowany dozorca.

Jego zdenerwowanie było u-

sprawiedliwione. Upadając mogłem sobie poważnie zaszkodzić, a sprowadzenie pogotowia groziło wniesieniem skargi przeciw pracownikom składu. Wobec takiej perspektywy dozorca pragnął jedynie, abym się jak najszybciej oddalił.

I tak zrobiłem. Ja też chciałem być daleko od tego miejsca.

Gdy znalazłem się na autostradzie, sprawdziłem, czy wszystko zostało wyładowane. Istotnie usunięto odpadki, lecz w głębi samochodu znajdowały się dwa koszyki wiklinowe zamiast jednego, którego chciałem się pozbyć!

Ogarnęła mnie wściekłość. Po stanowałem odszukać adres Ben-a Jacksona i odwiedzić mu ko-szyk. Gdy zatrzymałem się przed domem, znalazłem pod kolumnadą jeszcze jeden koszyk Higginsa!

Zalączony przy nim list z wierszowym wyjaśnieniem:

„Zapewne przypomina pan sobie Sarę King, przyjaciółkę Williama Shaw. Nie widziałem się z nią już dawno, panie Benson, lecz jestem pewna, że pan mi pomoże. Faktycznie jestem stale zamknięta w domu, nigdzie nie wychodzę. Wiem, że pan jest dżentelmenem, że chce pan oddać przysługę starej kobiecie i zajmie się pan uporządkowaniem krzaka róż zamiast mnie. Spośród wszystkich przyjaciół pan mieszka najbliżej i ma pan duży ogród”.

Pod listem podpisała się Sara King.

Wbiegłem pośpiesznie do domu. Ogarnęła mnie panika. To prawda, William Shaw uratował mi życie i przyczynił się do mojej kariery — lecz tak że wdzięczność ma swoje granice!

Gdy wszedłem do pokoju usłyszałem telefon. Dzwonił Charles Moriseau, brat pani Shaw. Poznałem jego głos już po pierwszych słowach.

— Czy pan przypadkiem nie widział Grace Shaw? — zapytał.

— Nie — odpowiedziałem, stając się nagle dla niego głosu naturalny ton, chociaż lek ścisłał mi gardło. Rzeczywiście — nie widziałem jej, więc nie kłamałem.

— Mój znakomity szwagier twierdzi — że zniknęła — ciągnął dalej Moriseau. — Podejrzewam, że jest to jakiś podstępny kawał jego nieokrzesanych przyjaciół.

Zachowałem jedynie słabe pojęcie o wyglądzie i sposobie bycia brata Grace. Był to prze-mądrzały zarozumialec, patrzył ironicznie i podejrzliwie na wszystkich ludzi. Złość mnie ponosiła, gdy mówiłem do stu chwaki!

— Pańska siostra nigdy nie miała opinii dobrej żony! Wszyscy wiemy co o niej myśleć!

— Obawiam się, że dzieje się coś nienormalnego — kontynuował Moriseau agresywnie. — Prawdopodobnie w tych dniach w towarzystwie policji zajrzą do pana, a także do innych tzw. jego przyjaciół.

— Kiedy pan chce! — krzyknąłem i odłożyłem słuchawkę. W tej samej chwili podjąłem decyzję: nie będę narządzałem pana Moriseau, aby zrujnować mego drogiego przyjaciela Williama Shaw!

☆☆☆

Minął tydzień. Byłem doskonale przygotowany do niepożądanego wizyty Moriseau, czy też policji. Miałem także alibi na tamto sobotnie popołudnie. Lecz nikt nie przyszedł i nicze-



go nie zauważyłem w gazetach. Pewnego dnia udałem się samochodem do Bel Air, dzielnicy, w której stał imponujący dom Shawa. Zobaczyłem policjanta, zapewne odbywającego

ślužbę w tej okolicy. Natychmiast zawróciłem. Następnego dnia próbowałem przywołać telefonicznie Higginsa, lecz do zorca odpowiedział mi, że w domu nie ma nikogo.

Moje napięcie rosło, ale nie alarmującego się nie wydarzyło. Żona ubolewała nad moim zdenerwowaniem i rozziargnięciem.

Uspokoiłem się nieco, gdy otrzymałem od Higginsa list, w którym pisał:

„Pan Shaw po przebyciu bardzo ciężkich tygodni, wyjeżdża w podróż do Europy. Będzie szczęśliwy, jeśli zobaczy swych starych przyjaciół po powrocie jesienią”.

A więc tak zakończyły się nasze zmartwienia! William uspokoił się, a ja i moi przyjaciele nie powinniśmy się już bać niczego.

A jednak byłem dalej niespokojny. Pewnego dnia żona zapytała: — Dlaczego zbaczasz z drogi, gdy widzisz policjanta na mochód? Czy popełniłeś jakieś oszustwo w zeznaniach podatkowych?

Nie mogłem już czekać do jesieni! Chciałem wreszcie mieć pewność, że żaden policjant nie zapuka do moich drzwi.

Kupiłem butelkę szampana i udałem się do mieszkania pana Shaw. Znalazłem tam Higginsa i opowiedziałem mu rozmowę telefoniczną z Moriseau.

Higginsa uśmiechnął się w swój zwykły sposób, z godnością i spokojem.

— Nie mamy się czego bać, panie Benson. Podróż do Europy zaplanowaliśmy celowo, aby pozbyć się pana Moriseau z pałacu. Teraz, kiedy jego siostra... jakby to powiedzieć... uciekła znów z jakimś mężczyzną o złej reputacji, możemy zamknąć dom i pan Moriseau będzie zmuszony wynieść się stąd. Lecz niedługo wszystko wróci do normalnego stanu, zaczynając dla nas piękne czasy, jak niegdyś. Już od następnej jesieni.

Przyjrzałem się bagażom, przygotowanym do drogi.

— Chciałem doręczyć tę butelkę szampana panu Shaw i złożyć mu życzenia szczęśliwej podróży.

Higginsa potrząsnął przecząco głową.

— Nie byłoby to dobre, panie Benson. Udało nam się przekonać pana Moriseau, że jego siostra uciekła. A więc lepiej, aby tu nikt nie widział przyjaciół domu, żadnej osoby, ze starej gwardii. Jeszcze za wcześnie!

— Rozumiem — rzekłem kładąc butelkę na bagażach. — Proszę złożyć panu Shaw moje serdeczne życzenia.

Następnego dnia stałem w dokach portu Los Angeles, obserwując z ukrycia odjazd statku, odpływającego na Wyspy



Hawajskie. Nie miałem żadnych trudności z odnalezieniem miejsc zarezerwowanych na nazwisko „pana i pani Higginsa”. W tej chwili właśnie widziałem ich wyraźnie. Stali przy rampie: Grace Shaw i kamerdyner Higginsa. Zachowywałem najwyższą ostrożność, aby mnie nie zauważyli.

Także Charles Moriseau był w dokach, zęgnął siostrę i nowego szwagra.

Wszystko było już dla mnie jasne. Uwolnili się od Williama Shaw, zabijając go i usuwając zwłoki przy pomocy jego dwudziestu najlepszych przyjaciół. Trzeba przyznać, że zęczenie to urządzili. Grace mogła teraz w trzymanywać Higginsa i Moriseau. Żadne z nich nie będzie szafowało pieniędzmi z rozrzutnością, która była przywilejem całego życia biednego Williama.

Brylantowy naszyjnik Grace błyszczał na jej szyi. Żeby Higginsa polyskiwały w słońcu, gdy śmiał się śmiechem, który nie miał nic wspólnego z owym ce remonialnym wyrazem twarzy dawnego kamerdynera.

Opuściłem dok i pobiegłem do kabiny telefonicznej, aby zawiadomić policję portową. Muszę przeszukać kabinę Higginsa. Znajdą w niej trzy koszyki wiklinowe z makabryczną zawartością.

Te same koszyki, które zdeponowałem w lodówce u znajomego rzeźnika, gdy tymczasem moja niezbyt pomysłowa inwencja na próżno szukała sposobu wybrnięcia z tej ponurej sytuacji.

Higginsa dobrze obmyślił zabójstwo i usunięcie zwłok, lecz popełnił jeden błąd. W pałacu mieszkali cztery osoby: trzech mężczyzn i jedna kobieta. Po nieważ należało przypuszczać, że Grace Shaw nie żyła, niesprawiedliwiona była obecność damskiego bagażu wśród walizek przygotowanych przez kamerdynera na domniemaną podróż do Europy. To właśnie stwierdziłem podczas ostatniej wizyty w pałacu Shawa. Wtedy zrozumiałem, że nie Grace lecz William był ofiarą zbrodni.

OPRAC. A. S.



Lewym okiem

SZCZĘŚLIWEJ PODRÓŻY!

Czy w dwudziestopięciolecie powojennym nie mieliśmy jeszcze tak mroźnej i śnieżystej zimy, jak tegoroczna? Mielśmy. Mielśmy zimy znacząco ostrzejsze. Czy zdarzały się kilkunastogodzinne opóźnienia w kursowaniu pociągów pasażerskich, całkowite zawieszenie ruchu na niektórych trasach, odmowa sprzedaży biletów kolejowych na relacje łączone ze względu na brak pewności co do połączeń? Nie, nie zdarzały się. Czyli tegoroczna zima komunikacyjna jednak jest zjawiskiem nietypowym, negatywnym, nie daj Boże — precedensowym. Wielu już zalamywało ręce, coś się psuje, uwaga! — coś się psuje!

Na tym tle paradoksem wydaje się fakt, że przemysł wykonywał najlepiej swoje plany dostaw towarów właśnie w najbardziej mroźne dni, w dni najtrudniejszej komunikacji. Nie cięższy się jednak. Jest to paradoks śmieszny a smutny. Bo to jest tak:

Zgodnie z zasadami obrotu towarowego, dostawca wykonał swoje zobowiązanie, dotyczące dostawy, w momencie, gdy przewoźnik, to zna-

czy PKP, pokwitował mu przyjęcie towaru do przewozu na liście przewozowym. Data stempla stacji nadawczej PKP na liście przewozowym jest datą wykonania zamówienia.

I dalej jest tak, że w mroźny dzień ładuje się towar do każdego podstawionego wagonu, zamyka wagon, przybija stempelek na liście — gotowe. Producent ma pełne prawo chwalić się wykonaniem planu. Natomiast w dzień odwilżowy można ładować towar tylko do co dziesiątego z podstawionych wagonów. Dlaczego? Proste: po pozostałych dziewięciu przecieka! Nie wolno ładować towaru do wagonu, w którym leje się po ścianach, kapie z dachu, a na podłodze stoją katuże. Choćby nawet było wolno — nikt przecież nie zdecyduje się rzucić nowitkach wyrobów własnych w błoto. Inna rzecz, że wagony załadowane w mroź ruszą w drogę — może za parę dni, może będzie ciepło, może odmarzną — i też zaczną zaciekać. Ale za to już dostawca nie odpowiada, i słusznie, nie może odpowiadać za wszystko i wszystkich. A kto odpowiada? PKP? Nie. Wicherek.

Nikt nie odpowiada za grypy, kaszle i katary setek osób, które przeważnie nie dla własnej przyjemności tłuką się po wszystkich szlakach Rzeczypospolitej, świątek czy piątek, mroźny mroź. Zdarzają się na niektórych trasach bardzo piękne wagony z najnowszej krajowej produkcji. Nie zdarzają się jednak takie, w których regulatory ogrzewania naprawdę by działały. Jest albo duszno jak w piekarni, albo wiatr gwizda na wylot. Bardzo, bardzo rzadko trafić można na przedział, w którym goźdżiny podróży dadzą się skrócić czytaniem. Dni u nas krótkie, żarów-

ki słabe. Na ogół pali się co druga, o sile światła połowy świecy. Ledwie rozróżnisz siódemkę karo od dychy trefli i strita od fula. Pozostaje drzemać z otwartymi ustami, z bolącym karkiem, z kolanami popłatany w skomplikowane kłobowisko. Powiedzmy to sobie raz szczerze i bez ostonek: podróżyjemy wagonami źle oświetlonymi, źle ogrzany, o niedomkniętych drzwiach i oknach, o przeraźliwie brudnych toaletach. To bardzo przykre, ale to prawda, wcale nie wyjątkowa, tylko właśnie dominująca. Jedyną ośladą — o czym już z przyjemnością pisałem i co z przyjemnością powtarzam — jest wielka grzeczność i uprzejmość konduktorów i kontrolerów. Cóż jednak stąd, skoro to nie oni odpowiadają za światło, za brak popielniczek, za nieszczelne okna, zimne przedziały, brudne umywalnie. A czy w ogóle ktoś odpowiada? Kto? Czy ktoś „pod tym kątem” kontroluje pociągi? Dlaczego nikt?

Prawie nigdy nie rozumiem komunikatów, na dawanych przez dworcowe głośniki. Sam charakter, trzaskanie i postukiwanie. Jedno, co z tych komunikatów zapamiętałem: „Jazda na stopniach wagonu grozi kalectwem a nawet śmiercią. Życzymy podróży szczęśliwej podróży”. Żegnany tym sloganem, wsiałam co parę dni na nowo na jakiejś stacji do jakiegoś wagonu, przekonany, że znów z własnej winy źle się na tę podróż ubrałem — bo albo za lekko, albo za ciepło — i że książka, którą wożę w teczce na wszelakie okazje, pewnie nie będzie z niej w ogóle wyjęta, bo ciemno.

Byłe do lata.

—CWIĘK